3 1761 08822320 1

Presented to
The Library
of the
University of Toronto
by
Professor B.E. Shore

Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/polnischeslesebu00trau

Frau Helene

in Erinnerung an die Tage in Lublin.

Vorwort.

Die Unvertrautheit mit allen *res polonicae* hat sich im Weltkriege bitter am deutschen Volke gerächt. Eine Brücke zwischen deutschem und polnischem Empfinden zu schlagen — darauf kam schließlich alles an —, wäre damals dem größten Politiker nicht mehr möglich gewesen. Eine Welt von inneren Gegensätzen lag zwischen beiden Völkern. Auch in der Zukunft wird es schwer für den Deutschen sein, einen Zugang zur polnischen Seele zu finden.

In der Überzeugung, daß sich bisher auf keinem Gebiete menschlicher Tätigkeit polnisches Fühlen und Denken so eindrucksvoll, so eigenartig und herzgewinnend offenbart hat, wie in der Literatur seit dem Auftreten von Mickiewicz, fügte ich eine Reihe von schönen und charakteristischen Gedichten und Prosastücken zusammen, damit jeder, der Lust hat sich in die polnische Literatur der letzten hundert Jahre zu vertiefen, einige ihrer wesentlichsten Repräsentanten zunächst in Proben kennen lernen kann.

Es ist ein Lesebuch und keine Chrestomathie. Von Vollständigkeit ist angesichts der Fülle des von den Polen Geschaffenen keine Rede. Gar mancher bedeutende Dichter und Schriftsteller ist überhaupt nicht zu Worte gekommen, denn bei den ungeheuren Druckkosten der Gegenwart mußte der Umfang möglichst beschränkt werden. Von einem Glossar sah ich ab, da große und kleine Wörterbücher genug vorhanden sind, und begnügte mich mit knappen sachlichen und sprachlichen Anmerkungen. Erklärt sind im allgemeinen nur Wörter, die man in dem »Vollständigen Handwörterbuch der deutschen und polnischen Sprache von Konarski, Inlender, Goldscheider und Zipper« (Wien, Moritz Perles) nicht finden kann.

La P. Gr
T 7778 po

Polnisches Lesebuch

Eine Auswahl polnischer Poesie und Prosa
des 19. und 20. Jahrhunderts

von

Dr. Reinhold Trautmann
Professor an der Deutschen Universität in Prag

62 R

Göttingen
Vandenhoeck und Ruprecht
1920

480883
1. 11. 48

Univ.-Buchdruckerei von E. A. Huth, Göttingen.

Inhaltsübersicht.

Seite

1. Poesie.

Adam Asnyk (1838—1897):

Bez granic 46
Przeminął czas 48
Choć pól i łąk 56
Noc pod Wysoką 96

Jan Kasprowicz (geb. 1860):

Światło boże 1
Chrystus 22
Tęsknię ku tobie 46
Rudawski 58
Na jeziorach włoskich 92
Jesień 95
Venus vulgivaga 167

Marya Konopnicka (1846—1910):

Poszłabym 56
Do granicy 66
Faun śpiący 135
Luini 136

Adam Mickiewicz (1798—1855):

Aus »Pan Tadeusz« 108
Sonety Krymskie 111
Farys 124

Kazimierz Przerwa-Tetmajer (geb. 1863):

Anioł Pański 20
Słońce 91
Melodye mgieł nocnych 94
Dzwony 137
Narodziny Afrodyty 163
Salomon i Sulamitka 165

Seite

Juliusz Słowacki (1809—1849):
Paryż 130
Grób Agamemnona 133
W Szwajcaryi 155

2. Prosa.

Adolf Dygasiński (1839—1902):
Wilk, Psy i Ludzie (1. Abschnitt) 101

Jan Kasprowicz: O bohaterskim koniu i walącym się domie (17. Abschnitt) 51

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: Ksiądz Piotr . . . 1

Władysław St. Reymont (geb. 1868):
Przed świtem 31

Henryk Sienkiewicz (1846—1916):
Latarnik 72

Wacław Sieroszewski (geb. 1858):
Na kresach lasów (Anfang) 114

Józef Weyssenhoff (geb. 1860):
Soból i panna (10. Abschnitt) 137

Stefan Żeromski (geb. 1864):
Rozdzióbią nas kruki, wrony 168

Kasprowicz:

Światło boże [1]).

Światło boże padło na ulicę,
Z całej gęby roześmiał się dzionek
Onem słońcem, co pośród koronek
Chmur porannych wytrzeszcza źrenice[2]):

Dymy rosną i z czarnych obsłonek
Wielką tkają dla miasta kapicę,
Ale blaski, jak ostre nożyce,
Rwą ją w szmaty, w sieć powiewnych błonek.

I przedemną gród[3]), jak olbrzym nagi,
Z snu zbudzony, snem na wpół opiły,
Wraca zwolna do olbrzymiej siły...

Wraca zwolna, nabiera odwagi,
Pierś wypręża, chwyta za trzon młota,
By kuć znowu straszną stal żywota.

Przerwa-Tetmajer:

Ksiądz Piotr [4]).

— Jakiegoś to herbu, panie Dzięgielewski? — Cykorya?

---

1) Aus den 1894 zuerst veröffentlichten »Impressye«.

2) wytrzeszczać źrenice »die Augen aufsperren, groß aufmachen«. 3) gród = miasto.

4) Gekürzt. Die Novelle erschien 1895.

— Ozorya. do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Aha! No proszę, ktoby myślał. A napiłbyś się panie Dzięgielewski herbu Ozorya wódki?

— Jak wola księdza kanonika. Czemu nie?

— A jakążbyś wacan[1]) dziś preferował. Anyżówkę, czy kminkówkę?

— A no tak po prawdzie żeby powiedzieć, to kminkówka ze względu, jako jutro jest wtorek, wydaje mi się racyonalniejsza.

— O! Iakimże to górnym stylem przemawiasz! Myślałby kto, żeś z nieboszczykiem Słowackim *Króla Ducha*[2]) komponował. Ale cóż to ma do tego panie Dzięgielewski organisto?

— Niby co, za pozwoleniem księdza kanonika, ma co do czego mieć?

— Kminkówka do wtorku?

— A no, po prawdzie, żeby powiedzieć, to ona może i nic do niego nie ma.

— To dlaczegóż wasan[1]) powiedziałeś?

— E, kiedy to jegomość to tylko zawsze tak człowieka musztruje...

— Ho! ho! panie Dzięgielewski, organisto kłonicki! Pamiętasz, jakem was maszerować uczył, tu na dziedzińcu przed plebanią, kiedy to się na burzę zabierało? I karabinem machać? Choc co prawda, tom sam maszerować nigdy nie umiał, bom służył w jeździe i miał pałasz, nie karabin. Pamiętasz, panie Dzięgielewski, jaki był ze mnie tęgi oficer w piątym pułku ułanów, za księcia

---

1) wie wasan alte Titulatur, verkürzt aus *waść* (S. 3 Anm. 2) und pan. — 2) Słowacki's »Król Duch« ist wegen seiner schweren Verständlichkeit berüchtigt.

Konstantego[1])? Jakiego miałem konia kasztanka, ho! Pamiętasz waść[2]), panie Dzięgielewski?

— Jakże mogę pamiętać, księże kanoniku dobrodzieju, kiedy wtenczas moja matka jeszcze panną bywszy, w Sabańciszkach na jarmarkach tańcowała?

— A prawda panie Dzięgielewski, że tyś cokolwiek młodszy odemnie. Wiele ci wiosen sobie liczysz?

— W metryce mam, jakom się urodził w trzydziestym drugim, z ojca Kaspra Mateusza i Kleofasyi Zaściańskiej, Ozorya Dzięgielewskich małżonków.

— I odrazu miałeś takie żółte wąsy, panie Dzięgielewski organisto?

— Ou, gdzie zaś! Jakże mogłem wąsy mieć, dopiero z łona matki wyszedłszy?

— A był Rzymianin *dentatus*, co się z zębami urodził, dlaczegóżby nie miał być Dzięgielewski »*wąsatus*«? Czyś to co gorszego od jakowego poganina, albo co?

— Pewnie, żeśmy od pogan lepsi — jeszcze szlachta...

— A widzisz. A ja się urodziłem w siedmset dziewięćdziesiątym dziewiątym, a teraz mamy ośmset ośmdziesiąty szósty, to ileż mi jeszcze do setki[3]) brakuje, panie Dzięgielewski, herbu Cykorya?

—Ozorya, żeby po prawdzie powiedzieć, do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Niech mu będzie. No, wiele?

— Żeby ksiądz kanonik miał dziewięćdziesiąt, toby brakowało dziewięć.

— A żebym miał sto, toby nie brakowało nic, prawda?

1) Großfürst Konstantin Pavlovič wurde 1816 Oberbefehlshaber der polnischen Truppen, gest. 1831.

2) alte Titulatur (verkürzt aus Wasza Miłość »Euer Gnaden«). 3) setka F »das Hundert«.

— E, kiedy to jegomość musi zaraz człowieka stropić. Jak się zaś od dziesiątki odejmie...

— No, wiele, prędko?

— Ouu, przecież to tak zaraz...

— A nibyś taki, panie Dzięgielewski, w rachunkach nagły, jak żyd w tańcu. To już ci pomogę. Trzynastka mi brakuje do setki. Wieleż to czyni?

— Właśnie chciałem powiedzieć, na psa urok, ośmdziesiąt siedm.

— Trzynastka, panie Dzięgielewski, trzynastka feralna cyfra. Ale, jakem szlachcic, jakem Piotr Załański, nie opuszczę Panu Bogu od setki ani dnia, na honor, nie opuszczę. Czym to jeszcze nie krzepki? Zeszłej niedzieli, pamiętasz waść, jakem huknął z ambony ku panu Karasowskiemu Bolesławowi z Wólki, co był zasnął w ławce, tak się wzdrygnął, aż mu okulary z nosa spadły. Oho! jeszcze się nie dam. Napiłeś się, panie Dzięgielewski, wódki?

— Jakże, kiedy ksiądz kanonik tylko obiecać raczył?

— No to wyjmijże karafeczkę z kredensu. A że dziś jest poniedziałek, a jutro wtorek, dwie. Nie tę, tamtę, tak. Na tę intencyę łykniesz sobie naprzód anyżki, potem kminkówki.

— Za łaską księdza kanonika.

— Łyknąłeś?

— Niby tak.

— Teraz drugą.

— Niby już.

— Zakąśże teraz pierniczkiem. Dobry?

— Hm! hm! Delicye!

— No to idźże teraz, panie Dzięgielewski do domu, a kłaniaj się pięknie pani Dzięgielewskiej i pannie Anastazyi Paprykowskiej, jej siostrze ciotecznej, a ja sobie

tymczasem pacierze poranne odmówię. Bóg z tobą, panie Dzięgielewski, herbu Cykorya.

— Całuję rączki księdza kanonika dobrodzieja. Ozorya.

I pan Dzięgielewski, obtarłszy rękawem płowe, siwiejące, długie wąsy, pocałował księdza kanonika niżej łokcia i wyszedł.

Wówczas staruszek przeżegnał się, złożył ręce na piersiach i począł chodzić po pokoju jednostajnym, wolnym krokiem, szepcąc półgłosem modlitwy, zaś stary gończy Zagraj, śpiący dotychczas pod kanapą, otwarł naprzód jedno oko, potem drugie, wstał, przeciągnął się, ziewnął, i jak to już od lat dawnych zwykł był czynić codziennie, puścił się krok w krok za swoim panem. Od czasu do czasu staruszek ręką muchy uprzykrzone odganiał, od czasu do czasu klapał na nie zębami stary Zagraj i tak chodzili obaj aż do śniadania.

W trakcie modlitwy ksiądz Piotr spoglądał niekiedy na ścianę, gdzie wisiały pięknie wypolerowane dubeltówki i tkwiły wielkie, rosochate poroża jelenie, przyglądał się chwilę kwitnącym w doniczkach na oknie hyacyntom i azaleom, albo wybujałym pod oknem malwom i słonecznikom, niekiedy przewiódł mimochodem oczyma po zrównanych w rząd cybuchach i połyskujących piankowych fajkach, lub też nie przerywając szeptu pacierza, przed szafą z książkami się zatrzymał, tę, ową poprawił, i szedł powoli dalej, pies zaś za nim. Na świat też nieraz spojrzał, bo na dziedzińcu uwijali się parobcy w ponsowych kabatach, pan Walenty Mościk, ekonom, krzyczał i komenderował, młode psy rozganiały kurczęta, stary, obłaskawiony żóraw, Marcin, źróbki[1])

1) źróbek »Hengstfüllen«.

płoszył i indorom się sprzeciwiał. Gwar był i ruch. Dziewki w żółtych i pstrokatych chustkach na głowie, przechodziły, nucąc tęsknie i rozwiodle, pawie roztaczały świetne ogony i puszyły się, wlekąc skrzydła po ziemi, gołębie chmurą zlatywały z nad dachów i wznosiły się nad nie, zataczając wielkie koła. Na to wszystko padało poranne słońce, bardzo jasne i promieniste, kładło plamy złotawe na ziemi i słało jasność mieniącą na lipach i brzozach.

Ksiądz Piotr, nie przestając się modlić, patrzył w okno siwy i cichy, z dłoniami zetkniętemi przy ustach, a gdy już ostatnie słowa pacierza wyszeptał, jeszcze znaku krzyża nie kładł, tylko stał przy oknie długo i patrzył. I potem znak krzyża na własnych naprzód ramionach uczyniwszy, kreślił go w powietrzu, błogosławiąc z swego pokoju kłonickim łanom, lasom i wodom rybnym i ludziom w polu robiącym, i trzodom, co się po łąkach pasły.

Tak było często.

Wypiwszy kawę, ksiądz Piotr zapalał piękną fajkę piankową na długim, wiśniowym cybuchu, z dużym, kosztownym bursztynem, dar nieboszczyka kolatora[1]) pana marszałka i pociągnąwszy kilkanaście razy, pochylał się w tył w fotelu i zaczynał drzemać, przyczem zwykle coś mu się śnić musiało, pomrukiwał bowiem: ho! ho! i poruszał wskazującym palcem prawej ręki, co czynił zawsze, ile razy opowiadał z zajęciem, lub dawne czasy wspominał.

Miało mu się też co marzyć! Dzieciństwo naprawdę »sielskie anielskie« w Załanach; służba pod księciem Konstantym, kilka lat emigracyi[2]), długa wędrówka,

1) kolator »Patron«.

2) Die polnische Emigration nach dem Jahre 1831.

wreszcie kilkadziesiąt lat służby Bożej, twardej i pełnionej po żołniersku, bez folgi, po rozkazie...

Księdzem nie został ten niegdyś świetny rotmistrz ułański z powołania; przyznawał się do tego otwarcie. — Ja — mówił nieraz — urodziłem się, kochanku, na księdza, jak moja dziewka Wikta, co korzec ziemniaków na plecy bierze, na baletnicę. Byłem młody, przystojny, ho! ho! nie biedny, a do tego żywy, lekkomyślny, pusty, ot szlachcic polski i do tego kawalerzysta. Alem poznał, kochanku, w czemeśmy zawinili. Ja, kiedy mi mój luzak, Sobek, chłopak z Załan, szabli niedopolerował, albo butów na czas nie przyniósł, buch go w pysk! Mój ojciec, mój dziad, mój pradziad, wszyscy Załańscy za takie same i podobne rzeczy swoich Sobków buch w pysk! Dlatego mi mój chłopak przed pierwszą bitwą uciekł, dlatego w czterdziestym szóstym[1]) mego brata stryjecznego Stanisława jego własny lokaj za nogę z konia ściągnął, a potem go chłopi tak zsiekli, że go poznać nie można było. Ja poszedłem robić ekspiacyę za siebie i za innych Załańskich, poszedłem, kochanku, służyć tym, względem których czułem się winny... A czy ty myślisz kochanku, że mnie było łatwo rzucić wszystko, cały świat, który mi się śmiał, sutannę oblec, na wieś iść, dzieci chłopskie chrzcić i szczerbate baby spowiadać? Nieraz myślałem, że nie wytrzymam, kochanku. Jeszcze jak węgierska wojna[2]) wybuchła, o małom sutanny na kołku nie zawiesił i za Karpaty nie ruszył. Ale powiedziałem sobie: zameldowałeś się Bogu do służby, służ! A służba Boża twarda rzecz i On nie żartuje. Kiedy dobry, to dobry, ale jak się rozsierdzi, wszyscy w kąt, nawet Michał

1) Bei der Volksbewegung des Jahres 1846.
2) Im Jahre 1848.

Archanioł, choć to wielki wojownik i dyabłu skórę wyprał, stronami tylko szablą pobrzękuje, a przed Panem Bogiem tak ją cicho w garści niesie, jakby po cesarskich pokojach stąpał. A cóż dopiero marny człowiek, choćby nawet kanonik. Ho! ho! Ale potem jużbym za skarby świata mojej sutanny nie zwlókł i mojej parafii nie opuścił. Com z początku, kochanku, jako pokutę, jako ekspiacyę podjął, żebym ja, pan z panów i oficer kawaleryjski między proste chłopstwo schodził, życie mu moje, moje dni i noce w ofierze niósł, tom się w tem potem rozmiłował... A potem rozmiłowałem się i w rzeczach boskich i zacząłem te dusze boskiemi robić. I myślałem sobie znowu: co ja tu jedną duszę kłonicką Bogu przysposobię, to On tam, sędzia sprawiedliwy i miłosierny, Załańskim choć po roku jednym pokuty czyścowej odpuści. A potem przez miłość Boga zacząłem i ludzkość szeroką miłować i tę miłość w kłonickie dusze szczepić... I powiedz mi, możeż być co piękniejszego na ziemi, jak dusze Bogu, ojczyźnie i ludzkości skarbić? A te kłonickie dusze, one są gliniaste i kamieniste, ale w nich i czarnoziem jest, one nie są złe, one są dobre. Tylko one są bardzo trudne i trzeba je, kochanku, bardzo kochać i bardzo im pobłażać i ludzkość im świadczyć. Żebym ja był mojego Sobka mniej bił w pysk, a więcej do niego mówił, nie byłby mi on przed pierwszą batalią powiedział: »a mnie wciórnaści do tego«[1]) — i uciekł, gdzie pieprz rośnie. I widzisz, mogę śmiało, kochanku, powiedzieć, że do czegom się zameldował, tom spełnił; byłem, śmiało mogę powiedzieć, dobrym księdzem, dobrym duszpasterzem. A żebyś mi to prorokował był tak lat temu sześćdziesiąt, kiedym ja dla panny Jadwigi Karśnickiej

1) Etwa »mich geht das den Teufel etwas an!«

siwą klacz turecką ujeżdżał, a potem ją na tej samej klaczy wykradłem, Panie odpuść, dla mego przyjaciela, Hilarka Roszczewskiego, że mnie w sutannie do trumny będą kładli, kiedy ja myślałem w jeneralskich szlifach na dolinę Jozefata iść... Ho! ho! Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Ho! ho!... Niema tam gdzie pana Dzięgielewskiego?

Bez pana Dzięgielewskiego nie mógł się staruszek kilku godzin obejść. Ów zaś pan Dzięgielewski z drobnej, zagonowej, żmudzkiej czy litewskiej szlachty, przywędrował jeszcze z ojcem nieboszczykiem Kacprem Dzięgielewskim, herbu Ozorya, z Litwy, i znalazł przytułek w kłonickim dworze. Zrazu pomagał dworskiemu pisarzowi w rachunkach, a że do cyfr głowę miał nieosobliwą, a na flecie pięknie grywał, poświęcił się kunsztowi organistowskiemu i taką z miechów czułość wydobywać umiał, aż się pannie Krystynie Kolasikiewiczównie, pokojowej pani marszałkowej, mdło zrobiło podczas sumy[1]) i ostatecznie została panią organiścinią, a razem ze stanu mieszczańskiego do godności szlacheckiej podniesioną.

Z panem Dzięgielewskim toczył ksiądz Piotr dysputy o wszystkiem, zacząwszy od owsa i polityki, kończąc na astronomii i motylicy. Droczył się z nim i trafiał w jego szaraczkową godność szlachecką, przekręcając mu Ozoryę na cykoryę, co się najmniej od lat trzydziestu zawsze z jednakowym skutkiem powtarzało. — — —

Koło plebanii było jak w arce Noego. Oprócz zwykłych, domowych zwierząt, miał ksiądz Piotr mały zwierzyniec, w którym sarny, zające i osobliwsze zamorskie gęsi żyły w bezprzykładnej zgodzie. Dozór nad tą menażeryą jak i nad ogrodem, miały sobie powierzony

1) suma »Hochamt«.

wszelakie baby i dziady, oraz kaleki i sieroty, jakie się w okolicy udało znaleźć. Ksiądz Piotr zbierał biedactwo, przygarniał, odchowywał i wychowywał[1]). Potrzebując dla siebie niewiele, bo go głównie piękne buty i rewerendy, do czego miał zawsze słabość, kosztowały, a mając i z parafii i z kapitałów własnych znaczne dochody, całę legiony ubogich żywił i odziewał. — — —

Miał ksiądz Piotr duży ogród cienisty, w którym wiele drzew, dziś już wyrosłych, własną jeszcze ręką sadził, przeszło pół wieku bowiem już na parafii kłonickiej siedział. Na owocach znał się wybornie, hodował je na prezenta dla kolatora i sąsiadów, a kwiatów było u niego wbród. Kiedy się koło nich krzątał, zawsze z nimi rozmawiał. Jedne chwalił, na drugie zrzędził, nad innymi się litował. Trzeba było słuchać. — »Uu, takeś to wybujał, narcyzku, ażeś się złamał, widzisz. Poczekajże, to cię podeprę. Tak. Teraz ci się będzie lepiej rosło. Trzymajże się dobrze, tak. A ten słonecznik, łobuz, jak się to rozpanoszył[2])! Myślałby kto, że Bóg wie co! Jaki tulipan zamorski, albo ananas! Ty zaś czego się tu spinasz, powoju jeden! Patrzcie! Będzie na płot lazł! Jak żeby żerdki nie miał! Owa! Jeszcze mi uczciwy groszek do czego złego namówisz. Spróbuj tylko! A te konwalijki, jakie śliczniutkie. Jak panienki! Tylko mi się tu nie pchajcie, astry. Ho, ho! Znam ja was. Nibym to nie był przy ułanach! Ho, ho!« — — —

Lubił ksiądz Piotr w letnie południe za ogrodzenie plebańskie wyjść i na ławce pod starym cisem siadłszy, w świat patrzeć. Widział stąd zboża złociste, pełne modrych bławatków i maków czerwonych, różowe i białe zagony koniczyn, łąki zielone, przesiane mnóstwem ró-

1) odchowywał i wychowywał »er zog groß und erzog«.
2) rozpanoszył się »hat sich breit gemacht«.

żnobarwnych kwiatków, mieniące się pod blask słoneczny. Widział bór ciemny, jakoby pod drżącą, przezroczą gazą złotoszmaragdowego światła i gdzieś daleko mgliste, błękitniejące góry; a nieopodal widział jezioro wielkie, cichą, lekko falującą z wiatrem rozchwiej wodną, nenufarami [1]) u brzegów i szeleszczącem sitowiem zarosłą, iskrzącą się miejscem jak blacha srebrna w słońcu, miejscem siwą lub siwo-fioletową. Po jeziorze pływały kaczki dzikie, czerniąc się na topieli sznurami, zawisały ponad niem czaple o skrzydłach szerokich i chmary czajek krzykliwych, a jezioro ciągnęło się szeroko, głęboko w kraj, ciche, senne, lekko z wiatrem faliste.

Wszystko to było zatopione w jakąś srzeżogę [2]) światła, nieskończenie spokojne, rozległe, prawie bezgraniczne, jakby zasłuchane w wiatr i szum łąk i wody, łagodnej smętności, rozkołysanoch tęsknot, jakiejś polnej zadumy i dziwnych, ogromnych upojeń pełne...

Ksiądz Piotr patrzał i patrzał, i zrazu odróżniał zboże od łąk, a las od wody, ale powoli poczynał mu się ten cały duży i rozmaity świat zlewać, łączyć, zamieniać w jedną wspólną barwę, błękitną a prześwietlną. Zboża, kwiaty, trawy i ciche kręgi fal jeziora i czaple na szerokich białych skrzydłach i stada krzykliwych czajek i obłoki przejrzyste i niebo jasno-błękitne, wszystko to napełniało mu oczy i czyniło w nich wielką światłość pogodną i niezmiernie słodką. Zdawało się księdzu Piotrowi, jakoby on już nie świat sam rzeczywisty, ale duszę świata widział, raczej opar jakiś czy mgłę, kolory ziemi niosącą, niż samą ziemię.

A potem to widzenie więcej duchem, niż oczyma, poczynało się gubić i rozwiewać w przestrzeni wyłania-

1) nenufar »weiße Seerose«. 2) srzeżoga »Frostbrand«.

jących się z pamięci obrazów, niegdyś widzianych. Zaczem poczynały się w duszy księdza Piotra rozbłękitniać olbrzymie przewieje morskie, z okrętami o białych żaglach i olbrzymie przewieje pustynne; poczynały w niej szumieć cedry Libanu i palmy oaz arabskich, poczynały w niej rósć piramidy milczące i wulkany o czerwonych kiściach płomienia u szczytu; poczynały się jawić miasta wschodnie, stubarwne, i owo rzymskie martwe, z ziemi dobywane, i ludzi tłumy i zwierzęta dziwne; tworzył się w niej jakiś łagodny, przyćmiony odległością czasu chaos wrażeń, ogarniało ją zapomnienie się, zamyślenie. I nieraz dopiero wysłany umyślnie przez gospodynię ulubieniec staruszka, siedmioletni sierota, Ignaś Znajda, budził go z zadumy, ciągnąc za sutannę.

— Jegomość!

— A... a co?

— Jegomość spali?

— E, tak mi się tylko nieco zdrzemało.

— Pani gospodyni kozeli pedzieć[1]) i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, zaraz idziemy.

— Jegomość!

— A co?

— A cy[2]) Pon Jezus to tak po niebie chodzi, jak jegomość po ziemi?

— A tak.

— A cy je bosy?

— A pewnie. Pocóżby tam buty nosił, kiedy ciepło.

— A cy je wielgi?

— Ho, ho! jak świat!

1) Dialektisch für powiedzieć. 2) = czy.

— A to jak pierun[1]) gruchnie, to mu między palce od nóg leci?

— A pewnie, pewnie.

— A cy je dobry?

— Ho, ho! Jak miód!

— A miód je dobry?

— A czyśto nie próbował?

— A Pombók?

— A Pan Bóg jest też dobry.

— Jesce lepsejsy?

— Nie, jednako, jednako.

— A wielgi je Pombók?

— Taki, jak i Pan Jezus.

— Jegomość!

— A co?

— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, chodźmy.

— No, to pódźcie. Dojcie renke[2]). Pomalućku, boście starzy.

I Ignaś brał za rękę księdza Piotra i szli razem ścieżką ku plebanii, rozmawiając po drodze dużo i seryo.

Zajęty służbą Bożą i ludzką, a zajęty bardzo ciężko, ksiądz wikary bowiem, studyujący dniami i nocami dzieła teologiczne, małą mu był wyręką[3]), nie miał ksiądz Piotr wiele czasu myśleć o śmierci, tem bardziej, że zawsze zapowiadał, iż od setki ani dnia Panu Bogu nie opuści. Ale pewnego jesiennego wieczora, kiedy słońce zaszło, ostatnie fioletowe plamy kładąc na ciemnem niebie, ksiądz Piotr, który długo przedtem siedział w milczeniu na

1) = piorun. 2) = dajcie rękę.
3) wyręka »Stellvertretung, Hilfe«.

ganku od ogrodu, zdając się drzemać, zwrócił nagle głowę ku siedzącemu naprzeciw organiście i rzekł poważniejszym niż zazwyczaj głosem:

— Panie Dzięgielewski, mnie się zdaje, że trzeba iść.

— A dokąd, że śmiem zapytać?

— Dalej, niż stąd do kancelaryi parafialnej. Tam... I pokazał ręką ku bielejącemu się opodal murowi cmentarnemu.

Dzięgielewski żachnął się[1]):

— A co też ksiądz kanonik dobrodziej wygaduje! Po prawdzie, żeby powiedzieć, to nawet nie przystoi, pfe! Jeszcze można w złą godzinę...

— No, zobaczysz, panie Dzięgielewski, organisto kłonicki, że mnie już trzeba iść. Już czas, już i tę trzynastkę Panu Bogu odstąpić muszę.

— O, o! Wolałby jegomość nie wymawiać takich przykrości!

— E, już i czas. Spowiadałem się właśnie dziś rano, jakby umyślnie. I komunię przyjąłem. Gotów jestem. Po księdza wikarego też jeszcze posłać można będzie. ale przeprosić go pięknie, bo pewnie nad »Summą teologiczną«, albo »Naśladowaniem Chrystusa« będzie siedział. Takich kanonikami robić, nie mnie, starego bajdę[2]).

Od pól szły przez ogród chłodne i zwiędłe wonie jesienne i słychać było cichy, jednostajny szum wiatru.

— Panie Dzięgielewski — ozwał się staruszek.

— Słucham księdza kanonika dobrodzieja.

— Słuchaj waść, ale nie mnie, tylko świata. Słyszysz, jaki to szum? Wydaje mi się, że słyszę obrót całej tej

---

1) żachnąć się »sich sträuben, abwehren«.

2) bajda »Schwätzer«.

wielkiej maszyny, której Bóg jest budowniczym i maszynistą wiecznym. Kręcą się na osiach planety i słońca, wszystko idzie po swoich drogach i szumi. Cały świat szumi. A on, budowniczy i maszynista wieczny, słucha i raduje się. Pomyśl tylko panie organisto kłonicki, Mateuszu Tymoteuszu Dzięgielewski, herbu cykorya, jaki to ogromny i cudowny szum być musi! Ty myślisz, że jak wiatrak Kuby Michałowego z Zardzawicy, a to jak tysiąc, milion takich wiatraków. Ho! ho! Jak wszystkie fale Atlantyku i wszystkie wichry Sahary razem wzięte. Słuchaj tylko...

— Słucham księże kanoniku.

— Słyszysz?

— Słyszę, jak wiatr po ogrodzie szuści.

— A tego szumu świata, tej maszyny ogromnej, nie słyszysz?

— Nie, z przeproszeniem księdza kanonika dobrodzieja.

Ksiądz Piotr pomilczał chwilę, a potem znowu zaczął mówić:

— Odsuń mości[1]) organisto tę szybę od północy. Niech jak najwięcej zapachu z pola wejdzie. Tam, jak tam... może być, jeśli Bóg miłościwy, i światło prześliczne i chóry anielskie i wonie rajskie mogą być i wszelki cud, ale przecież kłonickich pól nie będzie, nie będzie tego zapachu z mego parafialnego ogrodu... Wieczność jest długa, ale i pięćdziesięciu lat też pies nie przeskoczy... Te młode wiązy każesz podeprzeć, a żeby grusze dobrze na zimę słomą owinęli... Ho! ho! Takiego zapachu nie będzie... Mości panie Dzięgielewski, ja byłem w Ziemi Świętej i w Arabii i we włoskich pomarańczarniach, a takiego zapachu, jak u mnie w Załanach

1) Alte Titulatur, verkürzt aus Miłości.

dawniej, a potem tu w Kłonicach, nigdzie nie było. Panie Dzięgielewski!

— Do usług księdza kanonika.

— Czy to już miesiąc wschodzi?

— Niby.

— Jasny jest? Bo mi się źle w tamtą stronę oglądać.

— Jasny.

— To chwała Bogu. Nie chciałbym w niepogodę umierać.

— Uu, co też to ksiądz kanonik....

— Cicho, panie Dzięgielewski, organisto, cicho. Miesiąc poświeci duszy, jasnym gościńcem pójdzie. A i dobrze, jeśli z ganku. To prawie tak, jakby z pola. U nas w rodzie mało kto na łóżku gasł. W polu gaśli. Dobrze, że się skończyli, bo kto wie, coby z nimi było, tak, jak z innymi. Kotu na łódź szlachectwo bez szlachetności w duszy. Tak, panie Dzięgielewski.

— Słucham księdza kanonika....

— Ubierzesz mnie w nową sutannę, tę na jedwabnej podszewce, pasem jedwabnym przewiążesz, szpilką złotą z Korabiem przepiąć, buty nowe wyglansować, łańcuch kanoniczy na szyję, ordery moje wojskowe na pierś. Sygnet zostawić na palcu, niech idzie ze mną... Obsypiesz mnie kwiatami, dużo macierzanki, bo pachnie, narcyzy w głowach. I szablę moją, mości Dzięgielewski, złamać, bo jestem z rodu ostatni... Cóż to, ty buczysz, panie Dzięgielewski?

— U-u-u... bo ksiądz kanonik tylko mi serce kraje...

— Albo wiesz co, panie Dzięgielewski, szabli łamać szkoda, ale mi ją cicho, żeby ksiądz wikary nie widział, pod sutannę we fałdy włożysz. W rękach krzyż, nibym ja tylko ksiądz, ale tam, pod bokiem, szabla... Czujesz, jak z mego ogrodu pachnie, panie organisto?

— Czu-czuję księże kan-n-nnoniku dobrodzieju...

— Testament jest tam, w biurku. Wszystko w porządku. Żebyś mi tu zawsze, panie Dzięgielewski, kwiaty w doniczkach podlewał i ogrodu strzegł. Nic nie sprzedawać, nic nie wypędzać. Na wszystko fundusz jest. Na dziady i na baby, na sieroty i kaleki, na zwierzyniec, na Marcina i Zagraja. Wszystko ma być, jak było, póki nie wymrze, albo nie wyrośnie i w świat nie pójdzie. U mnie było jedno serce dla całego świata. Sarnię bez kozy takiej litości warte, co i dziecko małe. Bóg wszystko stworzył, wszystko miłuje i o wszystkiem wie. Panie Dzięgielewski!

— Co ksiądz kanonik rozkaże?

— Bułanki panu Strzemieskiemu do Topolicy posłać. Broń Boże nie sprzedawać! On im łaskawy chleb da, bo nimi ostatni Załański jeździł. Mój dziad pannie Bronisławie Strzemieskiej, będąc nieco podchmielon, srebrny imbryczek z ręki wystrzelił, a potem jej do nóg padł i ona była moją babką. Ztąd my krewniacy. Bułanki do Topolicy, siwki księdzu wikaremu na pamiątkę, bo on rad tą maścią jeździ i tych jednych się nie bał. Strzałę weźmie porucznik Kotwicz, to kawaleryjski koń. Może da Bóg jeszcze obaj nie tej trąbki będą słuchali, co dzisiaj. Ho, ho!... Fajkę z Maryą Antoinettą i kałamarz bronzowy z Napoleonem także księdzu wikaremu. Z majątku mego będzie fundusz na zakład wychowawczy, a tobie, panie Dzięgielewski, przekazałem testamentem dwa buhajki, dziesięć tysięcy i jeszcze tam to i owo, a tu masz ciepłą ręką tę tabakierkę szyldkretową z rubinem, żebyś o starym księdzu pamiętał.

— Uu, uu, uu, księże kanoniku dobrodzieju!...

— A nie klękaj przedemną waść, nie całuj mię po kolanach, fe, wstyd, wszyscyśmy równi. A że ja mam

więcej, to ci daję. Tak powinno być i koniec. A nie bucz tak, panie Dzięgielewski, bo ludzi budzisz... Narobią się dzień cały, potrzebują spać. Ja się też choć pół życia napracowałem, trza iść spać... A tak przecież dziwnie... Niby się wie, że się ma umrzeć, a tak dziwnie... Tu jutro już może człeka nie będzie, a tu żeby choć jeden listek z lipy opadł, żeby choć jedno źdźbło trawy zawiędło... A przecież wszystko z jednego Boga wyszło, Bogiem trwa... Marność marności jest człowiek i nic tylko marność... Rok, dwa będą pamiętali, potem zapomną... Niech tam, byle Bóg miłosierny nie zapomniał... O resztę nic!

— Jak mi się też żywo przypomina, jakem tu pierwszego dnia przyjazdu po alei grabowej w ogrodzie chodził... Takie były te graby, jak i dzisiaj, rozłożyste i szumiące. Lat pięćdziesiąt, pół wieku z górą... Nie chce mi się wierzyć, żeby ta pszenica tak samo prosto rosła, a przecież będzie... Tyle lat. Com ja tu chrzcił, com tu pochował... O, jak to jasno...

Przez liście winne, które ganek gęsto obrosły, poczęła wmykać się światłość miesięczna, cicha i srebrzysta, zawisała na liściach i patrzyła w dół. Szum wiatru, poruszając liśćmi, jakoby przymykał i odchylał jej powieki. Ksiądz Piotr spoglądał jakiś czas w górę, potem głowa opadła mu ku piersi, a pan Dzięgielewski, któremu grube łzy spływały na wąsy, słyszał, jak staruszek szeptał:

— Niema co, niema co, trzeba iść. Teraz wieczór, jutro rano, ale trza... Jak to księżyc na mnie patrzy... Jakby mi jasność jaką zapowiadał niebieską. Ale kto wie... Nigdym się niczego nie bał, com się to śmierci napatrzył w oczy, a przecież mi jakoś straszno... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże, bądź miłościw

mnie grzesznemu... *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa*... A i krew jest na mojej duszy...

Opuścił jeszcze niżej głowę na piersi i milczał chwilę, ale nagle podniósł ją i silnym głosem przemówił:

— Mości Dzięgielewski, jak odśpiewają *requiescat in pace*, każesz ze wszystkich moździerzy parafialnych huknąć... Pamiętam w Olszynce leci na mnie oficer dragoński, jak go chlasnę[1])! Ale to było w dobrej sprawie, panie Dzięgielewski... Poprawno ten knotek w lampce przed Matką Boską Bolesną... Tak...

Poczem ksiądz Piotr przymknął powieki i począł drzemać, ale organiście się zdawało, że głowa opada staruszkowi coraz niżej i że oddycha coraz słabiej i słabiej. Trwało to czas jakiś, aż się pan Dzięgielewski zaniepokoił i miał już wstać, aby przywołać pannę Capikównę, gdy zegar uderzył dwa razy na wpół do dziesiątej i we drzwiach, wiodących z sieni do ganku ukazał się mały Ignaś Znajda w koszulinie i płóciennych majteczkach. Podszedł on ku fotelowi księdza Piotra i pociągnąwszy go lekko za sutannę ozwał się:

— Jegomość! Pódźcie! Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli spać. Pódźcie, dojcie renke! Pomalucku, boście starzy. Jegomość!

Ale kiedy ksiądz Piotr nie poruszył się, ani nie odpowiedział, wówczas Ignaś podniósł wielkie oczy na pana Dzięgielewskiego i spytał:

— Panie organisto, cy jegomość pomarli[2])?

1) chlasnąć »schlagen, hauen«. 2) = umarli.

Przerwa-Tetmajer:
Anioł Pański.

Na Anioł Pański biją dzwony[1]),
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony ...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona ...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
idzie przez łąki i moczary,
po trzęsawiskach i rozłogach,
po zapomnianych dawno drogach,
zaduma polna, Osmętnica[2]) ...
Idzie po polach, smutek sieje,
jako szron biały do księżyca ...
Na wód topiele i rozchwieje,
na omroczone, śpiące gaje,
cień, zasępienie od niej wieje,
włóczą się za nią żal, tęsknica ...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
na grób dziewczyny młodej siada,
w świat się od grobu patrzy blada ...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony ...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona ...

Na wodę ciche cienie schodzą,
tumany się po wydmach wodzą,
a rzeka szemrze, płynie w mrokach,

1) Ave Maria läuten die Glocken.
2) Osmętnica, die Königin der Trauer.

płynie i płynie coraz dalej ...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
coś się w niej skarży, coś tak żali ...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
traci się w górach i w obłokach,
i już nie wraca nigdy fala,
co taka smutna ztąd odchodzi,
przepada kędyś w mórz głębinie
i już nie wraca nigdy zdala ...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony ...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona ...

Szare się dymy wolno wleką
nad ciemne dachy, kryte słomą —
wleką się, snują gdzieś daleko,
zawisną chwilę nieruchomo
i giną w pustem gdzieś przestworzu ...
Może za rzeczną płynąc falą,
polecą kędyś aż ku morzu ...
A mrok się rozpościera dalą
i coraz szerzej idzie, szerzej,
i coraz cięższy, gęstszy leży,
zatopił lasy, zalał góry,
pochłonął ziemię do rubieży,
na niebie oparł się ponury ...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony ...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona ...

Idzie samotna dusza polem,
idzie ze swoim złem i bolem,
po zbożnym łanie i po lesie,
wszędy zło swoje, swój ból niesie,
i swoją dolę klnie tułaczą,
i swoje losy klnie straszliwe,
z ogromną skargą i rozpaczą
przez zasępioną idzie niwę ...
Idzie, jak widmo potępione,
gwiżdże koło niej wiatr i tańczy —
w którą się kolwiek zwróci stronę,
wszędzie gościniec jej wygnańczy — —
nigdzie tu miejsca niema dla niej,
niema spoczynku, ni przystani ...
Idzie przez pola umęczona,
łamiąc nad głową swą ramiona ...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony ...

Kasprowicz:

Chrystus[1]).

Wszystkie boleści, wszystkie łzy wylane
I wszystka ducha walczącego sprzeczność
Niech zabrzmią, w pieśni rozgrane[2]).

Niechaj zwątpienie ozłoci słoneczność[3])
Twórczego słowa — zwątpienie, co, w serce
Raz się zarywszy[4]), trwa wieczność ...

1) Veröffentlicht 1890. 2) rozgrać »zum Spielen bringen«.
3) słoneczność »Sonnenlicht«. 4) zaryć się »sich hineingraben«.

W życia przeboju, ach! w życia rozterce,
Jakąż bezdenną grób przepaścią zieje,
Gdy gaśnie skra po iskierce;

Gdy znikające człek widzi nadzieje,
Kiedy na dążeń promieniste znicze
Noc swój ponury zmrok leje ...

Są wówczas duchy, co straszne gorycze
Chłoną z spokojem, co z przedziwną ciszą
Patrzą w rozpaczy oblicze ...

Lecz są znów duchy, co, gdy »nic!« usłyszą,
Jęczą jak dęby, gdy dzikie wichury
Ich konarami kołyszą —

Rwą się w rozpaczy, jak jodły, gdy z góry
Grom w nie się wryje, gdy śmiercią szeleści
Las naokoło ponury.

I nieraz w niebo krzyk bluźnierczej treści
I krew rzucają z ropiejącej rany,
By znów zamilknąć — w boleści ...

O Chryste Panie! o Ukrzyżowany!
Godziż się rzucać potępienia głazy
Na byt, jak łachman, stargany? ...

Gdy drzewo rwie się[1]), syczą tylko płazy;
Widz, co ma serce, jękiem mu zawtórzy
Na gromów chłoszczące razy ...

A że się niebo ponad lasem chmurzy,
Że z drzewa jęki rozpaczy wycina
Piorun, wylęgły z tej burzy,

Czyjaż w tem wina, Chryste! czyjaż wina?

1) rwać się »umstürzen«.

I. Narodzenie Chrystusowe.

Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi spokój ludziom dobrej woli!
Ś-ty Łukasz II. 14.
I będzie mieszkał wilk z barankiem, lampart z koźlęciem; także cielę i szczenię lwie. Jezajasz XI. 6.

Na wysokościach chwała Bogu! chwała!
Na ziemi spokój ludziom dobrej woli!
Zadrżyj z radości! zadrżyj, ziemio cała!

Bo czas nadchodzi, gdzie świat ten wyzwoli
Potęga serca i ducha potęga
Z tego, co rani, i z tego, co boli.

Wszystkie żywioły, które złość rozprzęga,
Że w bezprzestannym ścierają się boju,
Połączy w jedno promienista wstęga!

I będzie cisza w miejsce niepokoju,
I w miejsce żółci nastaną słodycze,
Będzie zwycięstwo po walkach i znoju.

I tam, gdzie szumią niedostępne dzicze,
Kłosy lśnić będą w złotych blaskach słońca,
A blaski będą, jako sny dziewicze:

Ta wszystka ziemia od końca do końca
Zaróżowieje od rannych promieni,
Bo oblubieniec idzie i obrońca;

Bo mąż ów idzie, co światłem śród cieni,
Co przed wiatrami osłoną, co w suszy
Będzie jak woda żyźniących[1]) strumieni ...

Rozetlij[2]) iskry śród ogniska duszy,

1) żyźniący »befruchtend«. 2) rozetlić »entfachen«.

O ziemio grzeszna, lecz od dzisiaj święta,
Rodzie królewski, do dzisiaj pastuszy ...

Wygładźże twarz swą, bo troską pomięta,
Świecie! ... On, patrzaj! sieje ziarno pszenne,
I błoń[1]) da owoc, twoją ręką zżęta.

I używanie[2]) będzie już niezmienne ...
I będzie słońce po burzliwej chmurze,
Po zmrokach nocy jasne światło dzienne ...

Nastanie zgoda w zwaśnionej[3]) Naturze:
Lampart z koźlęciem, z barankiem lwie szczenię
Będą igrały na libańskiej górze.

I wszystek byt ten okryje odzienie
Sprawiedliwości ... Tak, nowe orędzie
To sprawiedliwość i spokoju tchnienie ...

Lucyfer.
Kiedyż to będzie! Ach! kiedyż to będzie! ...

VII. U stóp cysterny w Sychar[4]).

> Rzekł jej Jezus: — Niewiasto! wierz mi, iż idzie godzina, gdy ani na tej górze ani w Jeruzalem nie będziecie chwalili Ojca.
> ... Bóg jest duch, a ci, którzy go chwalą, powinni go chwalić w duchu i w prawdzie. Ś-ty Jan IV. 24.

I potem, judzką opuściwszy ziemię,
Skierował krok swój ku rodzinnej stronie,
Gdzie nazarejski gród w spokoju drzemie.

1) błoń »ausgedehnte, offene Ebene«.
2) używanie »Wohlsein«.
3) zwaśniony »entzweit, verfeindet«. 4) Vgl. Joh. IV, 5.

Była spiekota ... Słońce żarem płonie,
W drodze dalekiej opuszczają siły,
I pot wystąpił Mistrzowi na skronie.

A kroczył łanem[1]), co jak smak niemiły
Był w uściech żydów, gdyż zakonu słowa
W sercu Samaryi już się dawno stliły[2]) ...

Szedł i na piersi opadła mu głowa;
I cała postać łabędziej urody
Jako kłodzina[3]) chwieje się palmowa:

Zapewne dumał nauczyciel młody,
Dlaczego ludzi rozprzęgły zakony,
I jakby wspólne zgotować im gody.

I tak, myślami i drogą znużony,
Gdy się przybliżył pod mury Sycharu,
Usiadł na stopniach cysterny, ochrony

Szukając w cieniu przed strzałami skwaru.
I oto palmy rozpuściły włosy
Nad tą postacią, tonącą śród czaru

Rozkosznej wiosny. Dołem[4]) kwietnie wrzosy,
Na które słońce zlewa ogień złoty,
A tam, ponad nim, błękitne niebiosy

Porozpinały szafirów namioty.
W jasne, przeźrocze, niezmierzone dale,
Kieruje dusza swe natchnione loty.

I zdało mu się, że w rajskim krysztale
Zatopił serce i że dusza wzrasta
W nadziemskim czarze i w nadziemskiej chwale...

1) łan »Feld, Acker«. 2) stlić się »verglimmen«.
3) kłodzina »Baumstamm«. 4) dołem »unten«.

A wtem, od strony niewiernego miasta,
Bosa i z krużą miedzianą na głowie,
Jakaś ku studni zbliży się niewiasta.

I Mistrz wnet ku niej zwróci się i powie:
»Pozwól mi napić się z twojego dzbanka,
Pragnę, a w drogi dopiero-m połowie«.

I zadziwiona tem Samarytanka:
»Azaż żydowi pić[1]) z nieczystej kruże?«
Rzecze, pańskiego zmierzywszy baranka.

»Wy w Jeruzalem, a my na tej górze
Chwalimy Paną — zwyczaj nasz odmienny,
Więc nie tą stroną czynić ci podróże.«

A Chrystus, twarz jej ująwszy w płomienny
Uścisk swych oczu, do niewiasty rzecze
Głosem, co płynie, jak strumień, brzemienny

W słodkie rozdźwięki, dźwiękiem, który ciecze
Jako ten ruczaj, skoro spłyną lody,
Albo tak bije, jak serce człowiecze,

Gdy zakosztuje rozkosznej swobody
I w niebo rwie się swobodnemi pióry —
»Przyjdzie« powiada, »o, przyjdzie czas zgody!

I nie Garizim[2]), ani święte mury,
Lecz duch człowieka w świątnicę się zmieni,
I Ducha sławić będą duchów chóry...«

Lucyfer.
Oto spostrzegam śród dalekich cieni,
Jako tam władnie krwiożercze bożyszcze ...
I widzę łunę pożarnych płomieni.

1) azaż żydowi pić? »darf denn ein Jude trinken?«.
2) der Berg, der den Tempel der Samaritaner trug.

Wśród nich, przy krzyku »Poniszczę! poniszczę!«
Czciciele Ducha z wzniesionemi czoły:
Świat jest jak łzami przygaszone zgliszcze,
A na niem wznoszą kamienne kościoły.

X. W ogrodzie oliwnym.

Tedy poszedł Jezus z nimi na miejsce, które zowią Getsemane.
Ś-ty Mateusz XXVI. 36.
Tedy im rzekł Jezus: smętna jest dusza moja. Ś-ty Mateusz XXVI. 38.
Ojcze! jeśli chcesz, przenieś ten kielich odemnie. Ś-ty Łukasz XXII. 42.

Tedy szedł, spragnion spokoju i chłodu,
Gdy wre mu serce, gdy dusza się pali,
Do Oliwnego z uczniami Ogrodu.

Tutaj, nad brzegiem Kidronowej fali,
Pod drzew zielonem, bywało, sklepieniem
Częstokroć siada i cicho się żali

Drzewom i wodzie, co serdecznem drżeniem
Liści i fali z prorokiem się łączą,
Z jego nadzieją i z jego cierpieniem.

Tutaj się myśli zawiłe rozplączą:
Ich burze zmienią się w pogodne świty,
Dusza do marzeń o słońcu jest rączą.

Lecz dziś daremnie ulatać w błękity
Miesięcznej nocy, choć tak srebrną ciszę
Leje na cedry i oliwek szczyty.

Dziś, choć się fala tak wdzięcznie kołysze
I tak powabnie zaleca swe wdzięki,
Mistrz nie odpowie: »Szeleść dalej, słyszę! ...«

Dziś, choć mu szepce natłok[1]) lilii miękki:
»Pij! wszak dla ciebie ronimy te wonie«,
Mistrz po ich kielich nie wyciągnie ręki...

Dzisiaj on wszystek w swej boleści tonie,
Do krwi mu serce szarpią przeczuć kleszcze,
Aż krople krwawe wystąpią na skronie.

Spojrzy ku miastu, nad miastem złowieszcze —
Widzi — w oddali zwieszają się chmury:
Jutro ogniste posypią się deszcze.

Na Jeruzalem, na syońskie mury
Krwawy się strumień pożarów rozleje...
Oto już błyska, już płomień ponury

Strzela ku niebu, że na niebie dnieje,
Choć noc posępna wypełnia przestworze...
Walą się gruzy, tłum smagany zieje,

Woła na zbawcę ... lecz znaleźć nie może...
Żył — wczoraj! ... Tyr-by i Sydon słuchały,
A Jeruzalem... Boże!... Boże!... Boże!...

Spojrzy na miasto: mgieł przejrzystych zwały[2])
Srebrzą się w blaskach, które księżyc wplata
W ich przędzę nikłą, że zdaje się cały

We mgłach rozpływać — tak, że jego szata
Ze mgły i srebra kryje wszystką ziemię —,
A w mgłach i blaskach tych srebrnych ... Golgata!

Miejsce straceńców!... Zaś tam! dołem, drzemie
Krzyża gwiaździsta konstelacya!... Panie!
Oto Twe ziarno, Twe szlachetne plemię,

Któremuś świata oddał panowanie,

1) natłok »Menge«. 2) zwała »Gedränge, Menge«.

Przeraża sfora, puszczona ze smyczy!
Pot nań wystąpił, sił mu już nie stanie ...

I drżąc przed widmem mogiły, zakrzyczy —
Spojrzawszy w niebo, zajęczy boleśnie:
»Ojcze, odejmij ten kielich goryczy!«

Potem ku uczniom, pogrążonym we śnie,
Zwróci się, prosząc: »Ach! czuwajcie ze mną!
Smutna ma dusza aż do śmierci! Wcześnie

Śmierć ta przychodzi! ...« Zbawca, co, nad[1]) ciemną
Cedrę, sterczącą na najstromszym grzbiecie
Gór libanońskich, wyrósłszy tajemną

Ducha potęgą, lał balsam po świecie,
Czerpie ochłodę z zbyt płytkiej głębiny
Serc, by je w oddźwięk spieniły zamiecie!

U jałowcowej to cedra krzewiny
Szuka schronienia, gdy burza się rusza,
Ulg ranny orzeł u szczygła! ... »Mrok siny

Idzie już po mnie ... smutna jest ma dusza!
Czuwajcie ze mną! ... Czuję to: nie długą
Chwila, gdy życiem zatętni ta głusza;

Przyjdą ci wszyscy, co wczoraj mnie strugą
Kwiatów zlewali, hosanna! wołali,
Że echo smugi[2]) podawały smugom —

Na krzyż przybiją gwoździami ze stali ...
Ach! a na usta jeden z was mi złoży
Żar pocałunku, który zdradą pali ...«

Gdy się tak skarży przed płazem syn boży,
Zaszczękną bronie, zapłoną pochodnie

1) nad mit Akkusativ »mehr als«. 2) smuga »Wiese«.

I ogród zleją blaskiem krwawej zorzy:

To tłum się zbliża, który mierzy zbrodnie
Nie bolem bratnich serc, lecz — o sromoto! —
Swem własnem sercem, bijącem wyrodnie...

»Gdzie mistrz, Judaszu? Wszakże wziąłeś złoto?«
A wtem go Judasz całunkiem przywita:
»Bądź pozdrowiony, mój mistrzu! ... Ten oto! ...«

Lucyfer.
Patrzcie! o patrzcie! jaka krwawa świta
Prowadzi króla, gdzie wśród chmurnej ciemni
Tron mu zbuduje czerń, szałem opita.

Zagrzmicie śmiechem, duchowie podziemni!
Radości blaski rozniećcie ogniste:
Ludzie zdradzają, bo ludzie nikczemni,

Lecz Bóg, twój ojciec? ... A gdzież On? ... mów
Chryste! ...

Reymont:

Przed świtem[1]).

I.

Która godzina?
— Wybiła już dziesiąta.
— W tej chwili bije ... słyszę wyraźnie.
— To tylko ostatnie echa dźwięczą w korytarzach.
— ... Cztery, pięć!
— I deszcz pluszcze w rynnach.
— Siedem ... zaraz umrze godzina ... osiem ... powstrzymać, siostro, powstrzymać ... dziewięć ... boję się,

1) erschienen Warschau 1902. Gekürzt.

przechodzi nieubłaganie... dziesięć. Już jej niema... już wpadła w wieczność... już jej nic nie powróci... nic... Jak mi jej żal! Czy siostrze nie żal tych godzin pomarłych?

— W Bogu jest wszystko.

— Czy siostrze nie żal tych ludzi, tych drzew i zwierząt pomarłych?

— »We mnie zmartwychwstaniesz wszystek« — rzekł Pan.

— Rzekł Pan... — powtórzył jak echo.

— Chrześcijanin powinien w to wierzyć!

— Wierzę... ale... ale mi żal... — szepnął trwożnie, i oczy jego nasączyły się[1]) powstrzymywanemi łzami.

— ...Ale mi żal umarłych lat... powtórzył cicho i zatopił oczy w mroku zalewającym szpitalną izbę.

Biały kornet siostry chwiał się w ciemności niby skrzydła... a pod nim występowały ostro z cieniów jej ręce, białe, długie, rozmodlone ręce... Ziarna różańca spadały monotonnie z dziwnym przejmującym szelestem.

— ...I tych, które umrą do końca świata!

Poruszył się, poczuł jej wzrok w sobie — ostry wzrok czuwania, który czarnym lśniącym promieniem przenikał mroki i spadał mu na czoło gorącym pocałunkiem.

Milczenie dokoła, cisza mrących godzin, cisza tych lepkich, przyczajonych do ścian cieniów, wśród których żyły jedynie i czyhały jej spojrzenia miłosierne, oczy litości.

Przez otwarte drzwi widać było salę szpitalną, biały gościniec smutku, zatopiony w bolesnem świetle oliwnych

1) nasączyć się »vollsickern, sich füllen«.

lampek, które rozkrążały ropiące smugi na głowy chorych.

— Usnąć i nie zbudzić się, usnąć ...

Ale sen nie przychodził, więc znowu otwierał oczy i ślizgał się niemi po ścianach, po kornecie siostry, po jej rękach zamodlonych, i tonął tam ... wśród uśpionych błądził.

Oddechy wszystkie słyszał ... jęki przez sen, bicia serc, dyszenia przyczajonej trwogi, nieme krzyki konających oczu, wołania przepadających. Bolesnym, okropnym rytmem brzmiały te głosy w jego sercu i rozpierały je nieopowiedzianym bólem.

A potem, zdało mu się, że idzie wskroś tych łachmanów ludzkich, po tem śmietnisku dusz, wskroś płaczących nędz wszelkich ... wskroś pustek nieobjętych, w których żyły tylko konające echa skarg.

— I umarłe żale ...

— I umarłe nadzieje ...

— I wszystek ból człowieczy ...

— Uciekać, uciekać! — krzyczało przerażenie i strach, i ból go chwycił i wyrwał z nicości, i trzymał nad przepaściami, wczołgał się w niego kolczastem cielskiem, tarzał się po jego wnętrznościach i rozdzierał rozpalonymi pazurami.

— Siostro! siostro!

Nie, nie mógł wołać, nie mógł wyrwać z siebie tego krzyku, nie mógł się poruszyć, tylko wołał ratunku oczyma przekrwionemi[1]), krzyczał strachem i rozpaczą ... umierał w męce ... a ona w głębokiej kontemplacyi przesuwała ziarna różańca i całowała oczyma Chrystusową twarz, wiszącą na ścianie.

Czuł, że umiera, że chwila jeszcze ... że się już kołysze nad krawędzią nicości, że się stacza ... zapada.

1) przekrwiony »mit Blut überfüllt«.

Tak, to ona idzie przez izbę szpitalną, ona ... jakby ze zgaszonego światła ma utkaną szatę ... umarłych wód ma oczy ... bez dna przepaście, przerażający lej ... otchłań ... idzie. Pochyla się nad łóżkami ... idzie dalej ... uśmiechem promienieje ... nie widać ust ni twarzy, a ten okropny uśmiech wybłyskuje z niej, migoce nad głowami konających, zapełnia szpital, wije się w ciemności jak błyskawica zaguby ... jak trupie światło ... przenika mu serce, rozlewa się po nim miliardami ostrych, zimnych, przerażających błysków ...

— Śmierć! Nie, nie! — krzyknął oszalały i zerwał się z łóżka.

Oprzytomniał, bo zniknęło wszystko; zakonnica ułożyła go z powrotem i podawała lekarstwo.

Ból przeszedł, a on leżał w największym bezwładzie, jakby na dnie niepamięci, i tylko przyczajonym wzrokiem błądził po ścianach, czepiał się rzeczywistości, jak topielec wychylał się z głębi i chwytał źdźbła nadziei z rozpaczą. Nie wierzył jeszcze, że żyje, nie wiedział gdzie jest, a może już tam ... obłąkane grozą śmierci myśli kłębiły się w nim chaosem widm, kłębem postrzępionych obrazów, falą, która z łoskotem zawalała się i powstawała na nowo, zalewała go i pogrążała w coraz boleśniejszy lęk.

— Jestem? Jestem? ... — powstawało w nim pytanie, a potem obraz szpitala i zakonnicy, i sprzętów, utrwalał się coraz silniej na fali powichrzonych myśli, pokrywał rozprężenie, tłumił chaos i trwał.

— Siostro! ... rzucił lękliwie, jakby w próżnię, pewien, że odpowie mu milczenie.

Stanęła przy nim.

Patrzał na nią, jak na majak własnej wyobraźni, jak na cień własnych pragnień i myśli.

— Ciemno, ciemno ... — szepnął, rozglądając się trwożnie.

— Rozświetlę lampę!

Drgnął cały; usłyszał wyraźnie: to był głos z zewnątrz, z pewnością to był głos żywy; długo milczał i żuł radość stwierdzenia życia.

— Czy ja spałem? ...

— Bardzo mocno.

Nie miał już wątpliwości: to ją słyszał; ten głos miękki, pieszczotliwy, dźwięczny rozlewał po nim radosne ciepło istnienia.

— Która godzina?

— Jedenasta.

— Spałem całą godzinę. Tak, teraz wiem, że jestem, wiem ...

Rozjaśniła płomień, radosne światło zalało pokój, ośliźgiwało się po ścianach, skrzyło w mosiężnych ozdobach łóżka, uwypuklało[1]) wszystkie kontury, wydobywało barwy z bukietu stojącego przy łóżku, stwierdzało jego podejrzliwie badającym oczom — rzeczywistość!

Gdy mu podawała lekarstwo, pochwycił jej ręce i całował z najwyższem uniesieniem szczęścia.

— Nie umarłem, siostro! żyję! żyję!

Wyrwała mu ręce i cofnęła się w głąb pokoju, żeby ukryć dziwny, pomieszany ze łzami radości rumieniec.

On poczuł się dobrze, ból jakby się w nim wyczerpał i omdlał pod uderzeniem niezmiernego szczęścia istnienia, tlił się gdzieś w głębiach pamięci, czyhał ... Z lubością nieopowiedzianą poruszył głową, wyciągnął nogi, a nawet przegarnął sobie włosy; mógł znowu poruszać sobą bez męki: to go wprawiło w stan takiej błogiej, bezmyślnej,

1) uwypuklać »hervortreten lassen«.

dziecinnej radości, że zagwizdał walca, a potem chciało mu się śpiewać, to mówić, sprzeczać się, choćby kłócić nawet.

Czemu ona milczy? czemu się nie odzywa do mnie? — myślał i patrzał na nią tak długo, przenikliwie, ostro, że chociaż nie patrzała, rumieniec znowu wypełzł z pod kornetu i pokrywał jej twarz.

— Wie siostra, czuję się doskonale, tak dobrze, że za parę dni się wypiszę od was.

Podniosła głowę na mgnienie, że tylko pochwycił, wykradł jej spojrzenie, pełne łzawego lęku i żałości ostrej.

A jego przejął gniew.

Beczy, a nie mówi. Czemu nie mówi z nim? czemu nie patrzy?

— Czemu siostra nie mówi ze mną? czemu siostra nie patrzy na mnie?

— Modlę się.

— Mnie bardziej potrzebną jest siostra, niż Bogu.....

— Lepiej panu?

— O zupełnie dobrze, zupełnie, ale było strasznie, tak strasznie, że już myślałem ...

— Bez woli Boga nic się nie stanie. Bóg nie chciał zabierać jeszcze pana, to Jego łaska święta, że pan nie umarł bez spowiedzi ... Trzeba mu podziękować za to.

— W jaki sposób? — spytał niepewnym szeptem.

— Wyspowiadać się. Zobaczy pan, że choroba się prędzej przesili, wzmocni pan Łaską duszę i zwycięży chorobę.

— Nie, nie ... po co? ... Spowiadać się i zdychać! Nie, ja chcę żyć. Niech mi siostra nie wspomina o Bogu. Nie męczcie mnie swoją mityczną kukłą ... Nie trzeba mi przebaczenia, ani litości, mnie trzeba życia, a tego mi

nie da ta wasza okrutna bajka, nie, bo wasz Bóg jest bogiem zła, ciemności, choroby, nieszczęść ... nie jest Bogiem żywych! Gdzie męka, gdzie ból, tam Go przywłóczycie, aby dobił ofiarę. Słyszy siostra! Nienawidzę Go za wszystkie męki świata, za wszystkie łzy ludzkie przeklinam! Dusiciel dusz! ... Tak, niechaj zdechnę na wieki, ale przeklinam! — krzyczał tak rozdrażniony, że już był nieprzytomny, nie odrywał oczu od świecących, mosiężnych gałek łóżka i klął, krzyczał coraz głośniej, przeklinał.

— Jezus! Cicho! Cicho! — i modlitewnemi, przerażonemi rękoma zakrywała mu usta, aby nie bluźnił, ale chwycił ją zębami tak mocno, że z krzykiem bólu wyrwała ręce i padła na kolana.

— O Panie miłosierdzia nieprzebranego! Zmiłuj się nad nim!

O Panie miłości, o Panie dobroci, Usłysz wołanie moje! — — — Wołała drżącym, głębokim głosem, i sznury perłowych łez płynęły z jej cudnych oczu, a twarz płomieniła się najwyższą ekstazą błagania, miłości, rozpaczy i strachu. Trzęsła się, rozchwiana huraganem zgrozy, i całą mocą uniesienia rzucała czystą duszę pod stopy Pana i krwią serca żebrała zmiłowania dla niego.

Oniemiał!

Zwinął się w kłębek i wlepił w jej twarz rozpalone oczy, przełzawiony głos przenikał go ogniem, radością, siłą, a te łzy rozpaczy, jakie wylewała za niego, ten krzyk płomienny duszy wierzącej, owiewał go żarem dziwnym, lubieżnym ogniem chodził mu po kościach, przyśpieszał bicie serca. Nie słyszał słów, nie rozumiał ich, patrzał na nią, na jej twarz cudną, całował ją oczyma.

— Nie warto się modlić za mnie! — wyszeptał z trudem, dyszał chwilę chrapliwem rzężeniem, bo ta ośle-

piająca, ohydna żądza zapchała mu gardło, stłumiła głos i tak roztrzęsła go wewnętrznie, że tchu złapać nie mógł.

Zakonnica usiadła na dawnem miejscu, i znowu monotonny, cichy szelest spadających ziarn różańca, drżał w ciszy pokoju, a jej oczy, czuwającej trwogi i smutku oczy, przeszklone nieobeschłemi jeszcze łzami, padały na jego twarz pocałunkami ... lub trwożnie a głęboko spoglądały w okno ku stronie świtów, ale tam noc była jeszcze głucha i majaki drżących z zimna i potopionych w mrokach drzew, i złowrogie, tajemnicze szepty ciemności ...

— Siostra jest cudownie piękną! — szepnął znowu i uniósł się na poduszkach. — Tak, niesłychanie piękną. Pod tym okropnym strojem kryją się cuda, przeczuwam je, widzę nawet, widzę ... zatrzymał się, bo znowu brakło mu głosu.

Zakonnica wyszła, przymykając drzwi za sobą.

Nie widział tego, gorączka objęła mózg w czerwoną falę ognia, leżał jakby na dnie samego siebie, w pustce okropnej, w ciemności, a rozprzęgły mózg wyrzucał automatycznie, bez woli jego i wiedzy coraz straszniejsze obrazy, coraz wstrętniejsze szczegóły, wszystkie zgrzęzy[1]) życia i wyobraźni, wszystkie plugastwa ...

Naraz zamilkł i powlókł oczyma, bo jakiś spazmatyczny, okropny płacz przedzierał się od drzwi.

— To ona płacze, ale dlaczego? dlaczego?

I czuł, że ten płacz przygniata go ciężarem niezmiernym, że każda jej łza, jak roztopiona kropla metalu, spływała mu w serce, przenikała nawskroś niego i spływała do serca gryzącą strugą ognia, palącego ognia.

— Boże! mój Boże! ... — i okropny żal wsadził

1) zgrzęzy »Bodensatz, Schmutz«.

swój kolczasty łeb w jego duszę i ssał ją, tak strasznie ją ssał, że tracił przytomność i zapadał w drzemkę pełną dręczących wizyi i jaw[1]) tak przerażających, że zrywał się z krzykiem śmiertelnego przerażenia, wyciągał ręce po ratunek i padał znowu w okropne ramiona półsnu, w oślizgłe, trupie objęcia męki.

Oprzytomniło go lekarstwo i jej ręce, ocierające mu twarz spoconą.

— To siostra? ...

Pochyliła się nad nim, poprawiając poduszki, łzy lśniącą strugą płynęły po jej twarzy, a usta drżały jak płatki róży.

— Która godzina?

— Dwunasta!

— Północ! Mój czas się zbliża!

— W ręku Boga jest wszystko! .....

— Umrę o świcie! — zawołał nagle i tak ostro, że wypuściła z rąk różaniec i patrzała na niego.

— Dobrze, dobrze ... o świcie ... pójdę ... — mówił cicho, coraz ciszej, jakby odpowiadał wezwaniom idącym z głębin nocy ... z tamtej strony.

— Pójdę ... szepnął ledwie dosłyszalnie, i przed duszą roztworzyły mu się bezmierne widnokręgi, nieskończone pola wieczności ... To tam, gdzie mży ten świt rozpaczny, purpurowy świt nieubłagania, tam płynie ta niepojęta ciżba na zatracenie ...

... Oto znajomi a nieznani teraz; oto swoi a obcy ... oto blizcy a dalecy; oto nigdy nie widziani, oto nigdy nie przeczuwani, oto nigdy nawet nie marzeni; oto oceany umarły, drzewa, kwiaty, zwierzęta — mieszały się razem w gęstwę skarg i płynęły wszystkiemi drogami światów,

1) jawa »Erscheinung«.

wszystkimi szlakami gwiazd, wszystkiemi majaczeniami myśli ...

Wypalone łzami oczy podnosili ku świtom i szli w ciszy śmiertelnej oczekiwania, w milczeniu tajemnicy ... A ciche tchnienie jego żałości powiewało nad nimi jak wicher palący ...

... i płakały dusze kwiatów pomarłych.
... i płakały dusze drzew pociętych.
... i płakały dusze zwierząt pobitych.
... i płakały dusze wód wyschłych.
... i płakały dusze porodzonych a pomarłych.
... i płakały dusze gwiazd pogasłych.
... i płakały dusze rzeczy wszelkich.
... i płakała śmierć sama i wyła dziką pieśń — straszliwą pieśń złorzeczenia, pieśń buntu przeciwko Niemu ...

Ale płynęli niepowstrzymanie tym nieubłaganym szlakiem musu, przez te przepaście zgrozy, przez okropną pustynię przerażenia, przez wiry czarnych pogasłych gwiazd, przez ulewy słońc konających, zielono-okropnych, rozpadających się słońc, z których sypały się bryły krwawych żużli deszczem ognistym i, niby ciężkie łzy umierającego wszechświata, spadały wskroś ciemności, w głąb bezmiaru, w głąb niepojętą ... aż ku świtom ... aż na serce Jego .....

— Idę ... idę ... wołał i oczyma, w których już była tylko otchłań rezygnacyi, szedł z niemi, gonił tę nieskończoną falę, a poruszyć się nie mógł ... Tłumy szły przez niego, przez jego mózg przeciągały strasznym korowodem, przez jego serce przelewały się jak wody oceanów, jak wszystek krzyk jestestw ginących brzmiały mu w duszy, a on unosił się i opadał w sobie, mocował się z sobą w męce odrywania, i pokonany ciężarem własnego

trupa, panującego lat tyle nad nim, pozostawał niby krab po odejściu fali na krawędzi życia, chwiał się, a nie spadał w głąb, konający już, a nie umarły, nie trup i nie życie, widmo raczej niż człowiek. Kontur blady istnienia, fosforescencya próchnicy.

Wiedział, że kona, że leży w szpitalu, że jest jeszcze, i ta jakby emanacya rzeczywistości: kamieni ścian, izby, łóżek, świateł lamp, zakonnicy — rzucały cień twardy i bolesny na jego czucie, trzymały go jakby szponami, odgradzały sobą i nie pozwalały wyjść i złączyć się z wizyą i przepaść z nią razem ...

Najwyższem natężeniem woli przebudził się, wizye odpłynęły w dal szarą, rozprysnęły się w mrokach, a on cichym, przejmującym głosem zaśpiewał:

»Kto się w opiekę odda Panu swemu ...«[1])

Automatycznie, zupełnie nieświadomie, niezbadane nory mózgu wyrzuciły z siebie tę pieśń, pochłoniętą niegdyś, w dzieciństwie, ale na dźwięk własnego głosu ożył i oprzytomniał zupełnie.

II.

Która godzina?

— Pierwsza.

— Świt jeszcze daleko?

— Daleko.

— Bo o świcie umrę z pewnością. Wiem, że już mnie nic nie ocali, wiem! Dlaczego drzewa tak patrzą w okna?

— Wiatr niemi kołysze.

— Nie, nie! ... one czuwają nade mną, one patrzą na mnie ... one wiedzą, że ... Co to? ...

1) Anfang eines beim Leichenbegängnis gesungenen Liedes.

Krzyk długi, bolesny, wstrząsający krzyk rozdarł ciszę, i długo echami tłukł się pośród niemych murów szpitala ...

Zakonnica wyszła prędko, ale wróciła po chwili.

Wskazał ręką sufit i oczyma powiedział:

— Wiem, umarł tamten z pierwszego piętra. Wiedziałem o tem ...

— Nie, nie ... zaprzeczała lękliwie, kryjąc twarz w cieniu kornetu.

Uśmiechnął się dobrotliwie.

— I ja umrę o świcie ... — poruszał ustami i nasłuchiwał w ciszy, w której szeleściły cichutko drzewa za oknami, i słuchał szmerów nocy i jakichś słabych, ledwie odczuwanych stąpań czyichś ...

— Ktoś chodzi po podwórzu!

— Niema tam nikogo.

— A jednak śmierć nie jest snem nieprzespanym, nie — powiedział głośno i usiadł na łóżku. — Nie można uznawać Przyczyny i mieć ją za głupią. Żarna mogą być tylko symbolem życia ... Prawda, siostro?

— Tak, tak ...

— Czy siostra żyła już kiedy?

Spojrzała na niego litościwie.

— Mnie się zdaje, że dużo jest dusz przychodzących za wcześnie, jak kwiaty złudzone ciepłą godziną marca ... nierozwinięte pąki przysypie śnieg ... może przetrwają i zakwitną o prawdziwej wiośnie, w drugiem życiu, ale więcej marznie na śmierć wieczną, nim się dowie, że żyją ... Prawda, siostro?

— Tak ... tak ...

Niepojęty słodyczą spokój szczęścia rozlewał się po nim.

Nie bolało go nic; ani ciało, ani myśl żadna, ani

smutek, czuł w sobie ukajający bezwład górskiego jeziora, bezwład martwej wody, nie poruszanej najlżejszym powiewem, zapadłej w głuchą moc bezmiernego spokoju, nie śpiącej i nie umarłej, a bezsilnej w najgłębszej treści swojej i opadającej niewidzialnie, nieświadomie a ciągle i zwolna w jakąś głąb tajemniczą ...

Jego poczucie siebie, jego świadomość kurczyła się i malała niepostrzeżenie, że już tylko niektóre myśli i obrazy niektóre snuły mu się po głowie, jak majaczenia oślepłego zwierciadła.

Słodycz miał tylko w sercu, słodycz październikowego słońca i zwarzonych mrozem lewkonii, słodycz cichej ofiary łez.

— Chciałbym się przejść po pokoju ... dobrze?

Pomogła mu wstać, ubrała go w biały, ciepły szlafrok, ujęła mocno pod rękę i wolno, z rozczulającą troskliwością prowadziła.

— Raz ... dwa ... teraz lewą nogą ... odważnie ... tak ... o widzi pan, doskonale ... mamy siły ...

— Nie, nie mam już sił ... Usiądę na fotelu pod oknem ... Usadowiła go, jak mogła najwygodniej. Długo siedział, bezmyślnie wpatrzony w noc i w końcu szepnął:

— Pilno mi, siostro ... naprawdę już mi pilno.

Przyciągnął kwiaty i z głęboką rozkoszą dotykał ustami barwnych płatków i wchłaniał ich woń zamierającą ...

— To są oczy tajemnicy. Dzieci, miewają takie same spojrzenia, a czasem umarli.

Pochylił się ku oknu i długo a badawczo patrzał w noc.

Głuchy, wilgotny szum wichru grał smutny hymn na pochylonych, rozchwianych drzewach, a tam ... w otchła-

niach, jak ciężkie sny chorych, przewalały się chmury ledwie rozeznane.

— Do świtu jeszcze daleko ...

— Daleko ...

— Siostra płacze?

— Modlę się tylko.

— Modlitwa to dręczące pytanie duszy, rzucone w nieskończoność: »Czy Jesteś?«

— Nie, nie ... to błaganie serca: »Usłysz mnie!«

— — —

Dalekie, głuche uderzenie zegaru płynęło z ciemności.

— Która godzina?

— Druga.

— Noc już blednie, świt już idzie ... prawda?

— Nie widzę różnicy, ciemno jest jak było — powiedziała śpiesznie.

Milczenie zaległo.

Ona zapatrzyła się w bolesną, przemęczoną twarz Chrystusa, a on wpił się oczyma w ciemność i śledził ją badawczo; z ciężkich opon cieniów już zwolna wyłaniały się potwornie bezkształtne grupy drzew i ledwie wyczute kontury domów, świt był jeszcze daleko, ale już niepostrzeżenie wsączał pierwsze brzaski w ciemności ziemi, pełzał wśród chmur bezwładnie zwalonych na siebie i obrzeżał[1]) ją łzawą jasnością — — —

— Tak mnie razi światło — jęknął, zakrywając oczy.

Przyciemniła tak nerwowo, że zgasło zupełnie.

Utonęli w ciemności.

Zakonnica osunęła się na kolana i modliła się żarliwie, a on zapadał w cichy sen.

Budził się co chwila, błędnie spoglądał w okno,

1) obrzeżać »umsäumen«.

czasem zrobił jakiś ruch bezcelowy, nieprzytomnie patrzał w szarzejącą coraz jaśniej noc, to chciał iść, to usiłował myśleć, przypomnieć sobie coś, zatrzymać siebie na tej ostrej krawędzi życia, z której się zsuwał nieubłaganie i ... zasypiał.

. . . . . .

Jaśniej ... coraz jaśniej ...

Świt!

Cicho! cicho!

Niechaj odpocznienie przyjdzie dla znużonych; niechaj sen przywrze oczy czuwających; niechaj zapomnienie uciszy serca cierpiące.

Ptak śmierci tak słodko trzepoce do snu ...

A żywi niechaj śpią, niechaj się krzepią tem, że nie wiedzą.

Oto już świt dla czekających.

I wybawienie z męki.

I radość zmartwychwstania!

... I weselne życie w Panu ... ...

Świt się uczynił na świecie.

Ostry blask zalał przestrzenie i kwietnym pyłem zórz mżył[1]) na omroczoną ziemię, na pochylone sennie drzewa, na przytulone do siebie trawy, na przymknięte oczy kwiatów, na zamglone snem źrenice wód i ... na bezwładnie zwieszoną głowę chorego.

Podniósł się nagle, spojrzał w świetlistą głąb zórz i wyszeptał:

— Świt! świt! ...

I jak drzewo ścięte zwalił się na ręce zakonnicy.

---

1) mżyć »wie ein feiner Regen fallen«.

Asnyk:

Bez granic.

Potoki mają swe łoża
I mają granice morza
Dla swojej fali;
I góry, co toną w niebie,
Mają kres dany dla siebie,
Nie pójdą daléj!

Lecz serce, serce człowieka,
Wciąż w nieskończoność ucieka —
Przez łzy, tęsknoty, męczarnie —
I wierzy, że w swojem łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niebo całe ogarnie.

Kasprowicz:

W ciemności schodzi moja dusza. (Stück 10.)

1. Tęsknię ku tobie, o szumiący lesie!
Ku twoim pieśniom, które wiew wiosenny
W bezmierny przestwór na swych puchach niesie,
Ulata duch mój, sam w melodye plenny.

Syt jestem ziemi; z tej kaźni[1]) codziennéj
Trosk jej i cierpień, o szumiący lesie,
W akordy hymnów pierwotnych brzemienny,
Jak więzień z kajdan, tak ma dusza rwie się.

Jest zapomnienie w twej pieśni; jest lube,
O rozśpiewany[2]), o szumiący lesie,
W fali twych tonów rozpłynięcie bytu;

1) kaźń »Strafe, Qual, Marter«.
2) rozśpiewać »zum Singen bringen«.

Jest w nich tajemne przeczucie, że zgubę
Tego, co duszy wybawieniem zwie się,
Chowają w sobie dziedziny błękitu ...

2. Struny twej harfy, o szumiący lesie,
Dech ów porusza, co był w onej porze,
Gdy pod budowę wszechświata przyciesie
Pramistrz w niezmiernym układał przestworze —

Gdy kształty bytów święte Słowo boże
Przybierać jęło. O szumiący lesie,
Rozlewne[1]) dźwięków przedwiekowych morze!
Wonczas, gdy żywioł za żywiołem rwie się,

Kiedy Tworzyciel blask swój i swe cienie
I cichość swoją i swój rozgwar niesie
W pustą bez słońca i bez nocy głuszę —

To samo wonczas spłodziło nasienie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Dwie siostry bliźnie: twą i moją duszę.

3. Dlatego dzisiaj, o szumiący lesie,
Ma dusza wnika w twą duszę, rozumie,
Chociaż ludzkiego ciała ogniem zwie się,
Choć ludzkim śpiewa językiem, w twym szumie

Akord najcichszy ... A gdy w drzew twych tłumie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Wichr się rozgości w swej szalonej dumie
I burzycielskim swoim tchem rozniesie

Twe liście świeże, przerywając ciszę
Trzaskiem konarów, i ma dusza gnie się
I swą koronę wraz z twemi kołysze.

1) rozlewny »sich ergießend«.

I razem z tobą, o jęczący lesie,
Jęczy i jęk swój razem z twoim splata
W echo tych cierpień, co ranią pierś świata ...

4. O rozśpiewany, o szumiący lesie!
Wiem-ci ja dobrze, że ten wichr, choć zrywa
Twe i me łono, choć ból z sobą niesie,
Że snać go dusza nie wytrzyma żywa,

Nie jak wróg na nas z dzikim świstem spływa,
Ale najszczerszym przyjacielem zwie się,
Bo najszumniejsze melodye dobywa
Z mej i twej lutni, o rozgrany lesie!

A jednak dzisiaj — niech wierzchołki twoje
Ten tajemniczy, cichy wiew porusza
W pieśń, co ma w sobie zapomnienia zdroje,

Co rozpłynięciem jest bytu. Niech rwie się
Świat ten! Spokoju spragniona ma dusza,
O słodką ciszę szeleszczący lesie!

Asnyk:

Przeminął czas ...

Przeminął czas! przeminął czas
Tęczowej cudów powieści:
Już opustoszał święty las
I czarów w sobie nie mieści.

Już w nim nie mieszka żaden bóg,
Faun płochy, ani Dryada;
Na skrzyżowaniu ciemnych dróg
Żadne już widmo nie siada.

Zaklęty zamek poszedł w dym,
Postrachu więcej nie szerzy ...

I Meluzyna głosem swym
Nie wabi błędnych rycerzy.

Już czarodziejski prysnął krąg,
Serc widzeniami nie pieści;
Wyrwał się nagle z ludzkich rąk
Geniusz cudownych powieści!

* * *

Przeminął czas! przeminął czas
Rapsodów sławy i miecza;
Zmalały pieśni pośród nas
I pierś zmalała człowiecza!

Wolności także zamarł śpiew:
Niema skrzydlatej hussaryi,
Co za ojczyznę lała krew,
Padając z imieniem Maryi.

A bohaterstwa jasny cud,
Co niegdyś blasków lśnił tęczą,
Dzisiaj wyklina biedny lud,
Żelazną ściśnion obręczą.

Niezrozumiałym już się stał
Orężny szczęk epopei
Dla znikczemniałych, smutnych ciał
Bez męstwa i bez nadziei.

* * *

Przycichła pieśń i kona już,
Nie budząc żadnego echa ...
Próżno się czepia zwiędłych róż,
Naprożno w łzach się uśmiecha.

Próżno na grobach w cichą noc
Skarży się smutna i blada:
Straciła dawną swoją moc,

Sercem człowieka nie włada.

On się już wyrzekł złotych mar,
Jasnego zaparł królestwa
I nieśmiertelny ducha dar
W otchłanie strącił nicestwa.

I runął cały wielki gmach,
Wzniesiony wiarą pokoleń ...
Została nędza, niemoc, strach
I ojców spróchniała goleń!

* * *

Lecz błyśnie dzień! Lecz błyśnie dzień,
W którym duch ludzki na nowo
Ożywi zeschły życia pień
Girlandą kwiecia różową.

I z prochu, w który dziś się wpił
Na dawnych marzeń ruinie,
Zaczerpnie zapas twórczych sił
I znowu w niebo popłynie.

A ideału jasny kwiat
Z zbutwiałych obrany liści,
Napełni znowu wonią świat,
Zakwitnie pełniej i czyściej.

I żywych natchnień złota nić
Przewiąże prawdy zdobyte:
Co nieśmiertelne, musi żyć,
Choć zmienia kształty zużyte!

* * *

A wtenczas pieśń powstanie znów,
Cudowną moc swą odświeży
I z labiryntu ciemnych słów
Na światło dzienne wybieży;

Rozpostrze tęczę rajskich farb
I nowe jutrznie zapali,
Najczystszy ludzkich natchnień skarb
Na śpiewnej unosząc fali ...

I nieśmiertelną życia treść
Dobędzie z prochu i kału,
I rzeczywistość zdoła wnieść
Za sobą — do ideału,

A bohaterstwo dawnych dni
Uświęci w walce ostatniéj:
Gdzie miłość zmaże plamy krwi
I ucisk zwycięży bratni.

Kasprowicz:

Główki dziecięce. (Aus »O bohaterskim koniu i walącym się domu«. 1906).

Wiszą u mnie na ścianie dwie główki dziecięce o wyrazistem, smutnem spojrzeniu.

Niema godziny, abyśmy z sobą milczącej nie prowadzili rozmowy.

Przekomarzamy się o drobnostki, o winogrona, o wstążkę, o to, czy małym dziewczątkom należy obcinać włosy, aby lepiej rosły, czy też odrazu zaplatać je w warkocze, o plamę na sukience, o potrzebę wdziewania kaloszy na błoto i co lepsze, tort czy ciastko francuskie.

Główki, malowane gris à gris, nabierają wówczas kolorów, dyskutują coraz to żywiej i, zniecierpliwione protestem, jakoby czekoladka i krem były zarówno »najlepsze«, twierdzą z wesołym uśmiechem w smutnych zazwyczaj oczach, że łatwo dam się przekonać, jeśli w niedzielę urządzę im »bal« z koleżankami.

Zaś w innych sprawach, gdy idzie o teatr lub koncert, albo o wycieczki w góry — koniecznie po klamrach i łańcuchach, zaczynają się gniewać i, podniósłszy palec do ust, grożą zupełnie na seryo:

— Niech tylko wyjdziemy za mąż, to nam już nikt tego nie zabroni!

Czasem jednak zapominam o moich główkach dziecięcych — zwłaszcza o zmroku —, jak wczoraj:

Deszcz jesienny uderza mi leniwie w szyby, wicher zgina niemal do ziemi ostatnią akacyę, otoczoną wałem cegieł na mającą się budować w roku przyszłym kamienicę, która do reszty zasłoni mi wzgórze z topolami i to ostatnie usunie drzewo ...

Monotonny skrzyp poblizkiego tramwaju przenosi mnie wskutek przypadkowego skojarzenia myśli na Plac wenecki w Rzymie, albo ku zapadłej osteryi[1]) w pobliżu Torri dei Schiavoni, gdzie karabinierzy grali w karty, opatrzone wizerunkiem Michała Anioła[2]) i Rafaela, a biedna, obdarta dziewczyna śpiewała za kilka soldów[3]) tęskne, na pastwiskach Kampanii pozbierane melodye; albo pod szarą, odwieczną piramidę, tulącą grób wielkiego poety, który dzięki kilku zasuszonym listkom bluszczu staje znowu przedemną; albo ku »Place de la Nation« z dumnym »Tryumfem Rzeczypospolitej«[4]); albo na »Friedrichstraße« czy »Unter den Linden« z błyszczącymi złowróżbnie pikielhaubami ...

Jak na niespodziewane hasło zaklętych organów, zaczyna się w pokoju mym roić od umarłych dawno postaci.

Chwiejący się na zmęczonych nogach upiór bierze

---

1) italien. osteria »Wirtshaus, Schenke«.
2) Michel angelo. 3) italien. soldo. 4) in Paris

obie me ręce, wlepia we mnie zblakły[1]), mglisty, w łzach spłukany wzrok i mówi:

— Ciężkie miałem konanie, bom chciał cię raz jeszcze zobaczyć, a losy nie pozwoliły; przychodzę dzisiaj, by cię przywitać i pożegnać — —

Nie zdołał jeszcze rozpłynąć się w wilgotnych mżach[2]) wieczornych, a już inne widmo skrada się za mojemi ramiony, głucho śmiertelną szeleści koszulą i, pozostawiwszy na podłodze kilka zbutwiałych jej strzępów, całuje mnie w usta i mówi:

— Nazwałeś mnie kiedyś kochaną, a potem odszedłeś; przybywam, by ci przypomnąć tę chwilę zdeptanej miłości ...

Odarta z kory, na pół przegniła wierzba, rosnąca na skraju piaszczystej wydmy w stronie dalekiej, przystaje pod mem oknem, puka w nie zmartwiałymi palcami i rozwartą szeroko źrenicą zajrzawszy do wnętrza mej izby, wlecze się z powrotem, obłupana z kory i napół przegniła, na skraj swej wydmy piaszczystej w dalekiej, dalekiej stronie ...

O bądźcie litościwsi dla mnie!

O wietrze jesienny, przestań płakać!

Skończ się, ty jednostajny, leniwy deszczu!

Nie pierwszy i nie ostatni raz skupiacie w jednej kropli, otrząśniętej z mistycznego kwiatu, całe, smutne, rozpaczliwe życie człowieka, wydmuchujecie ją do rozmiarów bańki mydlanej i drwicie i drwicie ...

Nie trzeba z uporczywością maniaków przypominać mi o tym zmierzchu, jaki holbejnowski taniec[3]) szaleje na mojem pustem uroczysku!

1) zblakły »verblaßt, verblichen«. 2) mża = mgła.
3) holbejnowski taniec »der Holbein'sche Totentanz«.

Wiem, wiem:

Władca jestem, panujący nad królestwem karłów,

a Śmierć koścista szyderczo bawi się moją słomianą koroną, tekturowe[1]) jabłko potoczyło się już ku klepsydrze, za chwilę i miecz drewniany wypadnie mi z ręki.

Wiem, wiem: ...

Rycerz-ci jestem nad rycerze! Na badylowych nogach wyruszyłem w bój, w zbroi i z wielkim pióropuszem na szyszaku,

a Śmierć koścista wbija mi oszczep w bok i rzechoce się z szpadki, wymierzonej w trupią jej czaszkę.

W promieniach zachodzącego słońca doorywam pola, rolnik, który wysprzedał się z zeszłorocznego ziarna i nie wie, skąd weźmie na świeży posiew,

a Śmierć koścista pogania mi konie, coraz chyżej, coraz szybciej ku miedzy mojego zagonu ...

Ulicą miasta przechadzam się z umiłowaną kobietą, chełpię się, żem odkrył skarby Sezama, których ani robak nie stoczy, ani ogień nie spali, ani woda nie zniesie,

a Śmierć koścista w rubasznych przedemną podskokach, bije w bęben dwoma piszczelami i pospolite czyni widowisko.

Plączą się obrazy o zmroku, gdy deszcz jesienny uderza w szyby, a wicher zgina ostatnią akacyę; nadchodzi moment, że ich obrysy i barwy zlewają się w ogromną, szarą, bezludną i bezdenną przestrzeń, śród której dusza stoi osłupiała — gdy nagle,

jak na niespodziewany akord zaklętych organów, na pozbawionych wzroku, głuchych i niemych powiekach uczuwam drobne rączęta i głos mnie budzi:

— A kto to?

---

1) tekturowy »von Pappe«.

— Ty jesteś, ty!

— A nie prawda! bo to ona! ...

Główki dziecięce, malowane gris à gris, opuściły szare passe — partout[1]), dostały żywych kolorów i śmieją się smutnemi zazwyczaj oczami.

— Wiem już — rzecze jedna — skąd Wisła wypływa i jaki Popiel[2]) panował nad jeziorem.

— A ja — dąsa się druga — znam opowieść o królowej Jadwidze i umiem już deklinować columba timida, columbae timidae, albo hortus, horti, horto ...

— Wielka sztuka — odyma się tamta — ja od panny Annety nauczyłam się francuskiej piosenki — o! — i dzwonem zadzwoni srebrzystym:

Adieu, mon bon navire.
Mes beaux jours sont passés — —
Je te quitte — —

— Cicho, ty papużko! Ja będę miała gospodarstwo gdy urosnę, i żyto i łąkę i kawał rzeki —

A ja założę okulary na nos i będę przełożoną pensyi — —

Bądźcie, czem chcecie, tylko wcześnie uczcie się cierpieć i — gardzić i nienawidzić — —

Nie, nie! Chłońcie wiosenną radość życia, jak ja w waszych latach, serca otwórzcie na oścież, aby wstępowała w nie miłość — dla Wisły, jeziora i Popiela, dla królów w słomianych koronach, dla rycerzy i rolników, którym Śmierć popędza konie ku miedzy, nim wysprzedawszy się z ziarna, zdołali o świeże postarać się zasiewy.

1) französ. passe-partout »der Glasrahmen«.

2) Popiel, der sagenhafte polnische Fürst von Gnesen.

Asnyk:

Choć pól i łąk ...

Choć pól i łąk
Odmładzasz krąg,
Roznosząc woń miłosną, —
Nie wrócisz mi
Młodości dni,
O, czarodziejko — wiosno!

Nie wskrzesisz złud,
Pojących wprzód
Zachwytem serce moje:
Nie dla mnie już
Rumieńce róż
I świeżych uczuć zdroje!

Więc z czary twej
Dla innych lej
Rozkoszy słodkie miody;
Niech z twoich szat
Rwie cudny kwiat
Kochanków zastęp młody.

Mnie tylko daj
Szumiący gaj
Nad moją głową senną ...
I otocz mnie
W głębokim śnie
Miłością dusz promienną.

Konopnicka:

Poszłabym[1]**).**

Poszłabym ja na kraj świata,

1) Aus den »Pieśni bez echa«.

Jak ten wiatr, co w polu lata,
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi,
W ciemną mroczną dal ...
Tylko mi cię żal,
Ty ziemio,
Gdzie kurhany ciche drzemią,
Gdzie się w stepach bielą kości,
Gdzie kwiat mdleje od żałości,
Tylko mi cię żal!

. . . . . .

Poszłabym ja w świat daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do Dunaju, do swobody,
Do szumiących fal ...
Tylko mi cię żal,
Ty chato,
Pod tą lipą rosochatą,
Pod tym sadem pełnym rosy,
Pod błyskami jasnej kosy —
Tylko mi cię żal!

. . . . . .

Poszłabym ja w Ukrainę,
Za to morze, za to sine,
Poszłabym ja na stracenie,
W bezmiesięcznej nocy cienie,
W niepowrotną dal ...
Tylko mi cię żal,
Sokole,
Co nad nasze latasz pole,
Ponad pole, ponad niwę,
Latasz, gubisz piórka siwe -
Tylko mi cię żal!

Kasprowicz:

Rudawski[1]).

Różni bywają na ziemi ludkowie —
Tacy i tacy: jednych Pan Bóg stworzył,
Że mają więcej rozumu w swej głowie
A innym znowu coś takiego włożył,
Czy wlał do wnętrza, co niby na zdrowie
Nie zawsze onym biedakom wychodzi,
Zwyczajnie jakąś miękkość, z której ból się rodzi.

Mówię biedakom, bo juścić na świecie
Jest to wiadomem, że w wysokim stanie
Zbytniej czułości nigdy nie znajdziecie:
Wielcy panowie i szlachetne panie,
Dla których żywot z samych róż się plecie,
Więcej na rozum biorą wszystkie sprawy —
Ha! trudno, tak już, widać, chciał Stwórca łaskawy.

Jakto? twierdzicie, że niby w tej chwili
Nieco za ostry o nich sąd wydaję?
Stary jest ze mnie wyjadacz, patrzyli
Na mnie ludziska, jakom w życiu staję[2])
Przeszedł niejedno, jako, moi mili,
I do pałaców znajdowałem drogę,
Więc o tem sprawiedliwie coś orzeknąć[3]) mogę.

Prawda! zawlecze-ć pod wyniosłe wrota
Jakowyś nędzarz swoje zbite[4]) kości,
Tak i w nich, bywa, rozbudzi się cnota,
Że mu kęs chleba podadzą z litości,
Albo szmat jakiś ... Ano, nie dziwota:

---

1) 1893 veröffentlicht (Stück 2 der »Typy«).
2) staja »bestimmtes Feldmaß«. 3) orzeknąć »erzählen«.
4) zbity »zerschlagen«.

Jako ten oset, co zalega pole,
Tak nędza i najtwardszych czasem w oczy kole.

Ale by rzucić pałacowe progi,
By wstać od srebrem zastawionych stołów
I między naród pospieszyć ubogi,
Jak ten rybitwa, co idzie na połów
Serc i dusz bratnich i na żadne głogi,
Na żadne głazy raniące nie zważa,
To, mówię wam, w tym świecie rzadko się wydarza.

Jednegom tylko znał wielkiego pana,
Którego pamięć jest mi, jak wyryta,
Choć od tych czasów została obsiana
Ta nasza ziemia świeżem ziarnem żyta
Z pięćdziesiąt razy ... Podarta sukmana,
Na którą inni z jawnym patrzą wstrętem,
Dla niego była zawsze czemś prawdziwie świętem.

Widać, rozumiał Chrystusa orędzie,
Choć o niem głośno nie mówił nikomu,
Jak się to działo, o, i dziać się będzie
Niejednokrotnie w pobożnisiów domu ...
Czyn, a nie słowo, miał zawsze na względzie,
Tak też nie z słowem, ale zawsze z czynem
Szedł równać się pospołu z pogardzanym gminem.

Kiedym go poznał, mówię wam, był młody,
Jako ten buczek, który w boru rośnie ...
Po ojcach posiadł sady i ogrody,
Pola i łąki, mieniące się w wiośnie
Zbożem i trawą i kwiatem. Miał trzody
I stada owiec bieluchnych; miał cugi
W uprzężach, z srebra kutych, i rozliczne sługi ...

Właśnie był wrócił z dalekiego świata,

Gdzie od lat kilku jeździł po nauki.
Wnet też, powitać chcąc szlachcica-brata,
Jęli się zbiegać sąsiedzi, jak kruki:
»Nielada bal nam wyprawi do kata!
Człowiek« — mówili — »rad z kielicha chłepce,
A z niego pan! Zwyczajów pańskich nie podepce!«

I rwetes powstał między sąsiadkami:
Nuż uczyć córy, jak sznurować usta,
Jak strzelać oczkiem; wszak pieniądz nie plami,
A zaś Rudawski to partyjka tłusta,
Wart milionik[1]); trzymać go zębami,
Choćby się miały nadwerężyć zęby —
Ha! może przecież kogoś przyśle w dziewosłęby.

I wnet, jak spojrzeć, cała okolica
Zmieni się w jedno ogromne wesele:
Tu obiad suty, tam znów wieczornica,
Do tańca huczą żydowskie kapele;
Aby miennego[2]) ugościć dziedzica,
Każdy, choć z resztą grosza się szamoce,
Sprowadza z obcych krajów trunki i owoce.

Ale mój panicz wcale się nie szasta:
Szlachcie za pamięć podziękuje słowem,
A gdy się która nawinie niewiasta,
By się nieznacznie, niby dobrym chowem,
Pochlubić córką, skłoni się i basta!
Jakby miał woskiem zalepione uszy,
Tak nic go, niby skrzypiec bez strun, nie poruszy.

»Kutwa! dusigrosz[3])!« — poczęli sąsiedzi
Coraz to głośniej szydzić w swojem kole;

1) milionik »Millionchen«. 2) mienny »wolhabend«.
3) dusigrosz, ziemlich gleicher Bedeutung mit kutwa.

»Więcej ma złota, niźli inni miedzi,
A jadłby z żłobu przy ośle i wole ...«
Czasami nawet ten i ów pobredzi,
Że, coś mu, widać, cięży na sumieniu,
Gdy ludzi tak unika, gdy się chowa w cieniu.

Lecz Jan Rudawski nie unikał ludzi
I lica swego nie trzymał w ukryciu:
Tylko się do tych, bywało, nie trudzi,
Którzy przenigdy nie siali w swem życiu,
A wciąż chcą zbierać — do tych, których nudzi
Skrzętność i praca mrówki, albo pszczoły,
A pełne miećby chcieli spichrze i stodoły ...

Rano, nim jasne rozlały się zorze,
Zanim się ptactwo pobudziło w boru,
Pan z panów rzucał skórą kryte łoże
I dalej w pole z kamiennego dworu
W prostym sieraku: ekonom nieboże
Więcej się w swojej miłował postawie,
Niż dziedzic na Rudawkach, Rudkach i Rudawie.

Ale nie tylko własnemi oczyma
Dojrzy, gdzie rośnie co i gdzie co leży;
Nieraz, bywało, sam pługa się ima,
Lub, jak parobek, za broną pobieży,
Albo snop zwiąże ... Z ludziskami trzyma
Jednaką rękę: »z nimi — mawiał — żyję,
Więc niechaj święta ziemia i pot mój też pije«.

Ludzie, jak ludzie, od prastarej doby,
Kiedy im rozum harapem wlewano,
Do czapkowania na różne sposoby
Mocno przywykli, poczęli kolano
Zginać i przed nim, by, jak od choroby,

Żegnać sie potem i splunąć gdzieś z boku,
Ujrzawszy, że już »parch ten« nie ma ich na oku.

»Hej! moiściewy[1])« — tak do nich wyrzecze —
»Święci mi żadnej jasności[2]) nie dali,
A zaś wielmoże[3]), jak wszystko, co człecze,
Co jest śmiertelne, bywali, bywali!
W wilgotnym grobie skruszały ich miecze,
Mąką z ich kości posypują ziemię.
A pamięć o niektórych gdzieś tam w księgach drzemie.»

Ano z początku było nie do wiary,
Że niby szlachcic zniża się do chłopa:
»Widno, kpi sobie« — tak niejeden stary
Pomyślał fornal — »wszakże jego stopa
Na to stworzona, by deptać nam bary[4]),
A ręka jego, by wymierzać razy,
A język jest-ci na to, by dawał rozkazy ...«

Ale Rudawski w ten moment ich uczy,
Jako pisano w Chrystusowem prawie,
Że pycha ludzi przenigdy nie tuczy,
Że wszelki człowiek, pracujący krwawie,
Równy jest drugim, a gdy los poruczy,
Jednemu z bliźnich o garść więcej ziarna,
Dla innych niech je sieje dłoń od pracy czarna.

»Mam-ci ja — mówił — dobytki, mam brony,
Pługi i radła, cepy i kozice,
Ale te pulchne i tłuste zagony,
Które mi sypką wydają pszenicę,

---

1) moiściewy »meine Lieben«.
2) jasność »Heiterkeit, Klarheit, Lauterkeit; Durchlaucht (als Titel)«.
3) wielmoże »die Magnaten«.
4) bary »große, starke Schultern«.

Waszych mi ojców pot wymierzwił słony:
Nie panem jestem, lecz jednym z włodarzy,
Co stoi na wspólnego mienia twardej straży ...«

I wspólne mienie wnet ku wspólnym celom
Począł obracać, chłopom pobudował
Chaty, aż oczy, jak dzień, się weselą ...
»Odkąd się człowiek — mawiał — w norę schował,
Zmienił się w zwierzę; Bartoszom i Grzelom[1])
Tak samo trzeba światła i powietrza,
Jak panom Artiurom, choć ich twarz jest bledsza.«

I tak się stało, że odtąd pokrzywą
Lud się nie karmił roboczy, dostatek
Chleba żytniego i strawę godziwą
Zawsze miał doma, nawet mięsa płatek,
A w życia swego chwileczkę szczęśliwą,
W dzień chrztu lub godów mógł zabić i wieprza:
Tak jemu naraz dola zaświeciła lepsza.

Gdy między braćmi wynikną niesnaski,
Gdy sąsiad zelży lub skrzywdzi sąsiada —
»Bracia jesteście!« — wykrzyknie Rudawski —
»Wszak się sąsiadom waśnić nie wypada.«
I słowa jego, jak słoneczne blaski,
Braciom wnet lica rozpogodzą gniewne,
I sąsiad złe naprawi tej chwili napewne.

Zdarzy się nieraz, że we wsi ktoś chory,
Spieszy z pomocą, jak posłaniec boży;
Zanim z mieściny przyjadą doktory,
Sam wnet opatrzy, sam okład przyłoży;
Nawet do posług najniższych tak skory,
Jak gdyby życie przepędził w szpitalu —

1) Grzela, Koseform von Grzegorz.

Widocznie miłosierdzie miał w każdziutkim calu.

»Ludzie — tak mawiał — równi z przyrodzenia;
Zwykły najemnik, książęta wyniośli
Z adamowego wyszli pokolenia,
Jak z pnia jednego pęki latorośli ...
Ale światłości potrzeba strumienia,
W żywej nauce trza[1]) skąpać rozumy,
By chłop, że równy panu, poznał czar tej dumy.«

I murowaną wnet szkołę wystawił,
I dzieciom chłopskim książkę w rękę wciska,
A gdy się w którem dar boży objawił,
W świat je posyła do wiedzy ogniska.
Węszył[2]) talenty i jak chart się wprawił —
»Zresztą — powiadał — znaleźć sprawą łatwą:
Są siły niespożyte między chłopską dziatwą«.

Takim był, wiecie, Rudawski, pan z panów ...
Szlachta z początku jęła kręcić nosem,
Śmiać się, że wieś swą zamienił w Pacanów[3]),
Że cham nie drzewem, ale książek stosem
Będzie podpalał w kominku: »z baranów,
Z swojskich baranów trudno jest niestety!« —
Szydziła sobie szlachta — »zrobić rambuljety[4]) ...«

Lecz gdy z pisklęcia wypierzył się sokół,
Gdy »stado bydła« zmieniło się w ludzi,
»Jakobin z niego![5]) — krzyczano naokół —
Tradycyę ojców przeniewierczo brudzi!

1) trza = trzeba. 2) węszyć = wąchać »riechen, wittern«. 3) Pacanów, Flecken im Kreis Stopnica, Kgr. Polen, der wegen seiner Armut und Zurückgebliebenheit sprichwörtlich geworden ist. 4) rambuljety (französ. rambouillets) »eine Art Merinos«. 5) jakobin z niego »ein Jakobiner ist er«.

Tłum pisma uczy, by krwawy protokół
Umiało kiedyś chłopstwo z nami spisać,
A któż wzburzoną falę zdąży ukołysać?«

W nieszczęsną chwilę ono słowo rzekli ...
Nadszedł czas taki, potrzykroć przeklęty,
Gdzie chytrzy wilcy na słońce wywlekli
Zwierzę z łon chłopskich ... Ze zdrady poczęty,
Rozsypał bunt się jako skry ... I wściekléj
Od psa wściekłego warczał tłum szalony ...
Gdzie szukać wybawienia? gdzie szukać obrony?

»Niech on ratuje!« — wołają — »Ma siłę,
Bo, widzim dzisiaj, swoich w ludzi zmienił:
Rąk swych nie krwawią! Posoką opiłe
Niechaj powstrzyma brytany ... Rozpienił
Straszny się potok, niechybną mogiłę,
Gotując dla nas i dla naszych dzieci ...
Rudawski niech, jak anioł, z pomocą nam zleci!«

Lecz pan Rudawski był już pośród drogi:
Zaledwie przyszła wieść, na konia skoczy,
Aby popędzić, gdzie łuna pożogi
Krwawą się płachtą na niebie roztoczy,
Gdzie bujny zagon zmienia się w odłogi
I gdzie podniosłe człowieczeństwa znamię
Od razu zaginęło w jednej krwawej plamie.

»Bracia! — wyjęknie — nie krew, tylko miłość...!«
I jednem słowem szaleńców uśmierzy ...
Z oczu im zniknie ta dzika opiłość,
Która zniszczenie naokoło szerzy ...
»To pan z Rudawy, co z chłopem w zażyłość
Poszedł braterską — dobrze, widno, radzi,
Posłuchać słowa brata, juści, nie zawadzi.«

I posłuchali ... Lecz z tłumu wyłoni
Taki się jeden, co nie »ślepym mieczem«,
Ale był ręką: zgrzytnął, dobył broni
I ze szwargotem: »o, my nie upieczem
Swojej pieczeni, gdy zawładną — oni!«
Wymierzył prosto w Rudawskiego serce,
W to serce, co z miłością nie było w rozterce.

I padł Rudawski i dziś — lata płyną
I mnie już dawno posiwiały włosy —
Nad grobem jego wieczorną godziną,
Gdy cichy wietrzyk z traw otrząsa rosy,
Samotna wierzba chyli głowę siną
I szumi, szumi pieśń o tej potędze,
Co brata dostrzedz w chłopskiej umiała siermiędze ...

Konopnicka:

Do granicy[1]).

— Zaparli chałupę,
I »befel« gwoździem do wrótni przybili.
Więc dzieciąteczka zgarnęłam na kupę,
A to najmłodsze, co płacze i kwili
Jak ten wróbelek — dzwignęłam na ręce,
I tak powiodłam to stadko jagnięce
W świat, gdzie poniosą oczy ...
— Patrzę — z dachu
Jaskółka drobna za nami wyleci,
A że nie miała od ludzi przestrachu,
Więc się z szczebiotem poniesie nad dzieci,
Jakby żegnając właśnie ... A był ranek

1) gedichtet, als in den Jahren 1886 und 1887 auf Befehl der preußischen Regierung einige tausend Polen Landes verwiesen wurden.

Zimny, i wiatr nam zawiewał do kości.
A słońce tlało jak lichy kaganek,
Tak już sam Pan Bóg uskąpił jasności
Na oną drogę smętną ...
— Szłyśmy razem
Kobiety z dziećmi żałosną gromadą.
Za nami, pobok, straże konne jadą,
I klną, i dziatwę drobną biją płazem,
Nagląc do drogi ...
— Byłaż to godzina! ...
Rodząca bólów swoich zapomina,
Ale mnie owej nie zapomnieć chwili,
Kiedy nas żywym murem otoczyli,
I z trzech stron słońca — zamknęli nas ścianą
Łbów końskich, białą parskających pianą ...
Za nami wioski nasze i sadyby,
Pola, ogrody, pasieki i łąki —
A my tu gnani, jako te skowronki
Z gniazd wyrzucone, albo z wody ryby ...
Jezu Ty Chryste ...
— Odwrócę ja głowę,
Żeby raz jeszcze popatrzeć na oną
Chatę, obórkę, na sady wiszniowe,
Na wdowią rolę trójpotem[1]) zroszoną ...
A ta mi strzecha stanęła jak złota
W oczach, a na niej dwa gołębie siwe,
Jakby ze srebra ... A wszystko od płota,
Aż do żórawia, co moknie w studzience,
Wydało mi się jakby było żywe,
I jakby do mnie wyciągało ręce ...
Patrzę tak pilnie, aż moja Bielicha,

1) trójpotem = troistym potem.

Moja krowina, com ją zaprzedała,
Stoi a ryczy ... A choć w trawie stała,
Nie posięgnęła się przecież do jadła,
Tylko za nami patrzy się, a wzdycha,
Właśnie jak człowiek ...
— Dziw, żem tam nie padła,
Taka mnie żałość zdjęła! ... Wszystko moje
Tam się zostało, a ja tu przed siebie,
Jako gąseczki dzieciątek tych troje
Zaganiająca, o głodnym szłam chlebie,
Między tych matek żałosnym narodem ...
A one liche sieroty nie wiedzą,
Że już ostatni to kąseczek chleba,
Co go z zagona osiadłego jedzą,
Z własnego ziarna, z pod własnego nieba ...
Tylko najstarszy, co w kupce szedł przodem
I niósł na kiju ojcowską sukmanę,
Miał liczko jakby czegoś zadumane,
I oczy jakby we łzach pływające,
Ile się razy obrócił na słońce ...
— A bliżej koło mnie
Szła gadająca z sobą nieprzytomnie
Staruszka, jako ta turkawka siwa,
Trzęsąca głową, ślepa, ledwo żywa,
I drogi sobie kijem szukająca,
I jak osiki listek cała drżąca ...
Więc że jej stare nie służyły nogi,
I zostawała w tyle za innemi,
Popchnął ją żołnierz ... Upadła wśród drogi
A gdy ją ludzie podnieśli, na ziemi
Tak odcisnęło się jej wyschłe ciało
Jak w Weroniki chuście, i zostało
Jak pieczęć krzywdy naszej przyłożona —

Pod okiem Boga — do ziemi tej łona.

Jak kamień ciężkie, jak węgiel gorące
Było dzieciątko na rękach mych śpiące.
A tu ni stanąć, ni siąść, choć pod miedzą,
Choć na kamieniu, jako pliszki siedzą,
Albo jak kawki w polu ...
— Dalej! Dalej! ...
Aż nas na rozstaj pod wieczór przygnali.
A na rozstaju był krzyż. Więc się owe
Niewiasty z płaczem do niego rzuciły ...
A gwiazdy weszły na niebo czerwone
Jak krwawe boże łzy — i tak świeciły.

... O Utajony na krzyżu, o Chryste!
Najlichszej muszce naznaczasz uchronę,
I ptaki wracasz na drzewa ojczyste,
A nasze gniazda zburzone? ...
O Utajony na krzyżu, o Panie!
Mróweczkę strzeżesz w mrówczanym jej gmachu,
I liszce w norze obierasz mieszkanie,
A nasze głowy bez dachu?
O Utajony na niebie i ziemi!
Ty wiosną domki budujesz ślimacze ...
Myż tylko sami, pomiędzy wszystkiemi
Mamy być wieczni tułacze? ...

. . . . . .

Ustał płacz niewiast, i tylko się z cicha
Tu, owdzie, łkanie stłumione zaniesie,
A las w oddali, to szumi, to wzdycha,
A wicher jęczy i wyje po lesie ...
W mchu utuliłam zziębnięte dzieciny,
W nieboszczykową odziawszy sukmanę.
Ale najmłodszy nie spał, a był siny,

Oczy otwarte miał i jakby szklane,
I po powietrzu rączkami się chwytał,
Do domu wołał, i o coś się pytał ...
A już od rana plątało się przy mnie,
Drżące w chustczynie nędznej na tem zimnie,
Dziewczątko drobne, może siedmiolatka.
Więc rzekę do niej: »A gdzież twoja matka?
— Pomarli matuś! — odrzecze mi na to.
— A ojciec? — Tato? Pomarli i tato! ...
— Cóż ty tu robisz? — A mnie wypędzili.
Precz mi kazali bieżeć za innemi« ...
I jak to kurczę głowinę pochyli
Na bok, i do snu skuli się na ziemi ...
Więc ją fartuchem okryłam, i wstałam,
I patrząc na to sieroctwo — nie spałam.

. . . . . .

Trzy dni my takie i trzy mieli noce.
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły ...
A ze mnie wyszły ostatnie już moce,
I duch i wszystkie ze mnie wyszły siły,
Com je dobyła z siebie, niosąc dzieci,
Jedno po drugiem przez dwa dni i trzeci ...
A było ich już jako w koniczynie
Onych listeczków — trojgo ... A ten czwarty
Zastygł mi w ręku, i poszedł w olszynie
Cudzej, pod krzyżem odprawować warty,
I czekać, aż mu pióreczka odrosną,
Żeby do domu zaś odlecieć wiosną,
Jako ten gołąb, co nie chce od strzechy
Odstać, a indziej zażywać pociechy ...
W białym on piasku bez trumienki leży,
Na cudzej ziemi i leśnej rubieży,
I tylko po nim rozchodnik ten pnie się

I ta kukułka mu kuka po lesie ...

. . . . . .

. . . . . .

Krwawemi łuny wschodziło nam rano
U tej granicy, do której nas gnano.
A choć nas rosy przejadły ziębiące,
Nikt się nie cieszył, że wschodzi to słońce,
Które nam obce i zimne się zdało,
Gdy tak na nędzę naszą patrząc — wstało.
Pokulbaczyły swoje konie straże,
I znów nas innym strażnikom oddały.
A teraz wrócą tam, gdzie są cmentarze,
Zamiast tych wiosek naszych, co się śmiały
Białością domostw i sadów zielenią ...
A dziś zczernieją od łez i tak zmienią
Tę jasność swoją od klątw, co tam lecą,
Że nie rozśmieją się już, nie rozkwiecą,
I będą stały przed Bogiem — jak groby,
Pełne tej krzywdy naszej i żałoby ...

. . . . . .

. . . . . .

A teraz, choć dzień, jest mi w oczach ciemno.
I nie wiem sama, czy ten świat przede mną
Będzie mi kiedyś ojczyzną i domem ...
A jestem dzisiaj porażona gromem,
I oderwana od piersi tej ziemi,
Co mnie zbożami karmiła swojemi,
I słońcem swojem cieszyła mi duszę ...

. . . . . .

A to wiem, że tu żyć i cierpieć muszę ...

. . . . . .

Sienkiewicz:
Latarnik.

I.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik[1]) w Aspinwallu, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia[1]), i został spłukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tem prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej w skalistym wrębie[2]). Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie tak dla ruchu miejscowego, jak i dla okrętów, idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zaspy, między któremi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł, podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowem słońcem wodach, prawie niepodobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie. A był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; powtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; nakoniec wogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróżniaczonym[3]) i lubiącym swobodną włóczęgę

1) latarnia »Leuchturm«; latarnik »Leuchtturmwächter«.
2) wrąb »Einbuchtung«.
3) rozpróżniaczony »an Müssiggang gewöhnt«.

ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinvallu przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczem przywożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej morgę rozległości, niema nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr. Izaak Folcombridge był w niemałym kłopocie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianiej następca zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedemdziesięciu albo i więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, płeć spaloną jak u Kreolów, ale, sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Folcombridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

— Skąd jesteście?

— Jestem Polak.

— Coście robili dotąd?

— Tułałem się.

— Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję odpoczynku.

— Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadrza spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej; ten trzeci to legia francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potem biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów — więc oto papier.

Folcombridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko? ... Hm ... Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety ... Byliście walecznym żołnierzem!

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą *pleny*[1]).

— All right! Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Próbowaliście różnych zawodów?

— Nie zaznałem tylko spokojności.

— Dlaczego?

Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Taki los ...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starszy.

— Sir! — ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. — Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo,

1) engl. plains, die Steppen zwischen New-York und Kalifornien.

widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgorącej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: Tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, Sir! to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie ... Błagam was ... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie ... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego ... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale ... dość już mam tego tułactwa ...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak głęboką prośbę, że Folcombridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

— Well! — rzekł. — Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem. Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatem Good bye! ... Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisyę.

— All right!

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki, zabarwiony tęczowo krąg o miękkich, nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przypływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do czarnego małego punkciku. Próbował zebrać

myśl i objąć[1]) swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napełniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skale poprostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą — a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwały się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Folcombridgeowi, nie wspomniał jednak o tysiącznych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkiem, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem dyamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indyach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii fermę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikiemi plemionami, zamieszkującemi wnętrze Brazylii: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bez-

1) objąć »begreifen«.

bronny i prawie nagi tułał się po lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkanzas i — spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w górach Skalistych[1]) dostał się w ręce Indyan i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku, kursującym między Bahia i Bordeaux, potem jako harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawannie i — został okradziony przez wspólnika w chwili, gdy sam leżał chory na »vomito«. Wreszcie przybył do Aspinvallu — i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych, niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladują go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tem objaśniali wszystko. On sam wreszcie stał się trochę maniakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tem mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd ... Rzeczywiście, niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indyanina i wielką spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilkanaście pchnięć bagnetem, bo nie chciał chwycić za

1) Rocky Mountains.

strzemię, które ukazywano mu jako środek ratunku, i krzyczeć: pardon. Tak samo nie poddawał się i w nieszczęściu. Lazł pod górę[1]) tak pracowicie, jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grana.

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe ... Ale zimy mijały jedne za drugiemi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się — począł tracić energię. Cierpliwość jego poczynała być coraz podobniejszą do rezygnacyi. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się[2]), i ten hartowny żołnierz jął[3]) przeradzać się w beksę, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach, lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś ... Nakoniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl odpoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie

1) pod górę »den Berg hinauf«.
2) roztkliwianie się »Rührseligkeit«.
3) jął »fing an«.

wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąt, w którymby mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największem ludzkiem szczęściem jest — tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tem, jak wogóle ludzie marzą o czemś niedoścignionem. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem, niespodzianie, w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda, i nie śmiał odpowiedzieć: Tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartymi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasycał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dal owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i, rycząc, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przypływ wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego, zmąconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło, potem o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potem jakieś łkania — i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwiał mgłę, ale napędził czar-

nych, poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynało dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek, pouwieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza poczęła wyć. Tam na dworze ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dnie i tygodnie ... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza, i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tem milsze są mu te nawoływania. Ale by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosobniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim pół-grobem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie zgodzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj człekiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich, jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłem życiu uczą

stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czem styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zawartych, określonych kształtów. Niebo: to jest ogół, woda: to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którem myśl jest raczej ciągłem zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny, jak dwa paciorki w różańcu, i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtaniem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską i oczy jego nie mogły się nasycić nigdy obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymiem, turkusowem tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się[1] przed nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedne za drugimi, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone beczki, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New-Yorku wiózł podróżnych i towary do Aspinvallu, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński, jak na dłoni, Aspinvall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki, nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym kamiennym bulwarku. Zrana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar

1) mrużyć się »sich schließen«.

życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina siesty[1]). Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczerby skał, fale słabły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmąconej ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły nakształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w [illegible]ękicie. Potoki promieni słonecznych lały się [illegible] wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i [illegible]iała jakaś niemoc pełna słodyczy. Czuł, że [illegible]nek, którego używa, jest wyborny, a gdy po[illegible], [illegible]ędzie trwały, to mu już niczego nie brakło. [illegible]ozmarzał się własnem szczęściem, ale że człowi[illegible] oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabie[illegible] ufności, myślał bowiem, że jeśli ludzie bu[illegible]dla inwalidów, to dlaczegożby Bóg nie miał [illegible] przygarnąć swego inwalidy. Czas upływał i [illegible]wali go w tem przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, [illegible] urwiskiem, z ławicami piasku i z samotno[illegible]. [illegible]ł się także i z mewami, które niosły się w [illegible]alnych[2]), a wieczorem odprawiały wiece na [illegible]i. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła; [illegible]aś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potem, [illegible]aczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptactwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na nizkie, piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków[3]), które odpływająca fala osadziła na piasku. W nocy, przy świetle księżyca

1) siesta (span.) »Mittagsruhe, Ruhe«.
2) załamy skalne »Felsenbuchten«.
3) żeglarek »das gemeine Perlboot (Nautilus pompilius)«.

i latarni chodził na ryby, któremi roiły się załamy skalne. W końcu pokochał swoją skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porośniętą tylko drobnemi tłustemi roślinkami, sączącemi lipką żywicę. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze, aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz[1]) składały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinvallu. Dalej, między Aspinvallem a Panamą widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwonawy opar wyziewów — las, prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany lianami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nietylko drzewa, nietylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug, wzbijające się czasem jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał zblizka podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych sklepień i gąszczów. Widział, ile pod ich cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał zblizka grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże, kołyszące się nakształt lianów na drzewach; znał owe senne jeziora leśne, przepełnione drętwami i rojące się od krokodylów. Wiedział, pod jakiem jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczach, w których

1) muza »Banane«.

pojedyńcze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których roją się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też tem większą teraz sprawiało mu rozkosz patrzeć z wysokości na owe *matos*[1], podziwiać ich piękność, a być zasłoniętym od zdrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkiem złem. — — — Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział, ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności, pozostawionej na brzegu, i światło latarni, zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnacyę. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył na jego wysepce. Zżył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci, i poprostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przytem stał się mistykiem. Łagodne jego niebieskie oczy poczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłem odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć jakby osoba, a zlewał się coraz więcej z tem, co go otaczało. Nie rozumował nad tem, czuł tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża, i złote ławice piasku, i wydęte żagle, i mewy, odpływy i przypływy — to jakaś wielka jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się[2].

1) matos (span., portug.) »Gebüsche, Wälder«.
2) koić się »sich beruhigen«.

Zatonął, ukołysał się, zapamiętał — i w tem ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tem pół-czuwaniu, pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół-śmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres: »Skawiński Esq.[1]« wypisany na grubem, żaglowem płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrzał i położył napowrót, przyczem ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc, zdawało mu się, że śni — książka była polska. Co to miało znaczyć?! Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swej latarniczej karyery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula »Heraldzie« o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New-Yorku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensyi, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwytać tych myśli. Polskie książki w Aspinvallu, na jego wieży, wśród jego samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych czasów ... cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z

1) engl. esquire, als Titel.

zamkniętemi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem wojując w Algierze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszcza, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki, i w awanturniczem życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tem większą też skwapliwością i z tem żywiej bijącem sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dziać coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary Aspinvallskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały[1]) z cicha, rozpływając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinvallu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyście a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć:

»Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,

1) bełkotać »plätschern«.

Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie ...«[1])

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło nakształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło ... Chwila jeszcze: opanował się i czytał dalej:

»Panno Święta[2]), co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono ...«

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczne włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean i znalazła go samotnika na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem ... On poprostu tym wielkim płaczem przepraszał tę ukochaną, oddaloną, za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z tą samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w

1) Pan Tadeusz, Buch I, 1—4; 5—13 und 14/15.

2) Genannt sind die Schwarze Muttergottes von Czenstochau, die Muttergottes an der Ostra Brama in Wilna und die des alten Litauerstädtchens Nowogródek, in dessen Nähe Mickiewicz geboren ist.

nim i tęsknota poczynała zacierać. A teraz »wracał cudem« — więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą: on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku, w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

»Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych...«

. . . . . .

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie — zmierzch krótki, jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas »Ta, co jasnej broni Częstochowy« zabrała jego duszę i przeniosła »do tych pól malowanych zbożem rozmaitem«[1]). Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: »Pamiętasz?« On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już. O tej

1) Pan Tadeusz I, 17.

porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale on teraz we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy się przesuwają przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca, ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światełkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś, w tej swojej wiosce stał nocą na widecie[1]); teraz przeszłość ta podstawia się[2]) nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie: zdala karczma pogląda płonącemi oczyma, i brzmi, i śpiewa, i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. »U-ha! U-ha!« To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną: teraz, jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru ... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli. Jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i żórawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rzeźko, zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójdą inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra, jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc

1) wideta (franz. vedette) »Kavallerieposten«.
2) podstawiać się »sich darstellen, erscheinen«.

blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj, jedyna, jedyna!

Cicho! Czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

— Hej, stary! wstawajcie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

— Co to — pyta Johns — chorzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie, szczęściem nikt nie utonął; inaczej poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku, idącego z Aspinvallu do New-Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i po morzach, by się nad nim znęcać do woli. To też stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła.

Przerwa-Tetmajer:
Słońce.

Słońce! słońce! słońce! słońce!
Wszystko lśni się, świeci, pała,
złote iskry skaczą z morza,
złotem błyska mewa biała.

Złote smugi drżą po wodzie
aż po Capri, po Sorrento —
na słoneczny wiatr okrętów
białe żagle rozwinięto.

Na roztoczach[1]) morskich głębi,
na szmaragdach i błękitach,
fioletu ciemne plamy
w rozzłoconych lśnią prześwitach.

Wzgórz majaczą gięte łuki
przez przezroczą mgłę błękitną —
na ich stokach białe miasta,
jak kamelij ogród kwitną.

A tam w dali przezroczysto,
jak jezioro lśni się morze —
srebrno-białej gładkiej tafli
jeden wiatru smug[2]) nie porze.

Jaki spokój tam i cisza — —
zda się z głębi, od Sorrenta,
wyjdzie cicho z morza Wenus
naga, piękna, uśmiechnięta.

Wyjdzie cicho i z warkoczy
strząśnie wody krople lśniące —

1) roztocz Fem. »Flut«. 2) smug Mask. = smuga.

świat się pławi w złotym blasku —
słońce! słońce! słońce! słońce!

Kasprowicz:

Na jeziorach włoskich[1]).

1. Cicho pobrzmiewa po jeziornej toni
Melodya świateł w przesłoniętą mgłami
Dal, co nad wodą tak się wiewnie kłoni,
Jakby całować ją chciała ... Przed nami
Niebo w promiennej z głębiną harmonii:
Zlewa się, stapia, zestraja[2]) dźwiękami
Barw swych i błysków tęczowej urody
Z każdą kropelką, z każdym nurtem wody.

Cicho płyniemy w marzeń dal — bez końca ...
Cicho płyniemy w zadumań ogrody ...
Z takiej to fali i z takiego słońca
Wyszła, miłośne światu sprawiać gody,
Jasnością włosów złocistych okryta,
Rozpromieniona, naga Afrodyta.

4. Cicho płyniemy kryształów głębiną,
Odbijającą niebieskie lazury ...
Granice wody i nieba gdzieś giną
Śród mgieł powiewnej, a przejrzystej chmury,
Co dal zasnuwa w przędzę srebrno-siną.
Po brzegach siedzą zadumane góry,
A na ich piersiach jasny puch zieleni
W złotem się słońcu, jak aksamit, mieni.

---

1) veröffentlicht 1897 (Teil 8 der Gedichte »Z Alp«).
2) zestrajać się etwa »sich schmücken«.

Od gór tych wonne tchnienie ciszy wieje;
Omdlała senność, rozlana w przestrzeni,
Ogarnia ducha, że duch senny mdleje:
Naokół słodki, dźwięczny głos syreni
Upajającą pieśń blasków wydzwania
O szczęśliwości, co idzie z kochania.

11. Cicho nasz statek jasne wody kraje ...
Cicho pobrzmiewa zdradny śpiew syreni ...
Po brzegach świecą cytrynowe gaje
I wille świecą w złocistej zieleni ...
Czasem przed nami ciemny cyprys staje,
Lub gdzieś na gzymsie róża się czerwieni,
Albo z pod łuku marmurowej bieli
Krzew oleandru karminem wystrzeli.

Jaki tu spokój! Ludzie czyż wymarli?
Lub czy też bramy z błękitnej topieli
Wyrosłych zamków na wieki zawarli
Przed gwarem świata? Czyżby wyjść nie śmieli
Z trwogi, że rozdźwięk skądkolwiek przypłynie
W te ich zaklęte miłości świątynie?

12. Grają miliony blasków po jeziorze,
Odbijającem niebieskie lazury ...
Cicho nasz statek jasne wody porze,
To chaty mija, oparte o góry,
Po skał krawędziach wiszące w przestworze,
To w skrach skąpane pałaców marmury ...
Przybił do brzegu ... Na pomost przystanka
Wyszła i czeka jednej z will mieszkanka.

Płyniemy dalej ... a skrzącemi oczy
Patrzy za nami ta piękna niebianka,
Ściga nasz statek po wody przezroczy ...

Czyż on jej może przywieźć miał kochanka?
Płyniemy dalej w tę głębię promieni,
W której pobrzmiewa zdradny śpiew syreni ...

Przerwa-Tetmajer:

Melodya mgieł nocnych.

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym)[1]).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie ...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
co nam ciała przezrocze tęczą blasków nasyca
i wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
i limb[2]) szumy powiewne i w smrekowym[3]) szept borze,
pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatujmy błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie ...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przezroczą,
i sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą.
Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
jak my same, i w nikłe oplątajmy go sieci,
z szczytu na szczyt przerzućmy się jak mosty wiszące,
gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
a wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie ...

---

1) in der Hohen Tatra. 2) limba »Zirbelkiefer«.
3) smrek (= świerk) »Fichte«.

Kasprowicz:

Jesień.

1. Ostatnie snopy zamknięto w stodole ...
Po żółtych rżyskach, przetykanych trawy
Zwiędłej resztkami, słońca blask złotawy,
Wijąc się, martwe chce ożywić pole.

Demon zniszczenia wzniósł się ponad światem,
Dziwnie łagodny, dziwnie uśmiechnięty,
Jakgdyby pragnął skon, przez siebie wszczęty,
W źródle poezyi utopić bogatem.

A przecież siła w jego piersi drzemie
Straszna, jak pomór, co jednym podmuchem
Milion bytów bez litości truje.

Patrzcie, za chwilę upadnie na ziemię
Całem swem cielskiem i w milczeniu głuchem
Jej tchy serdeczne w szron i lód zakuje.

2. No stokach góry spoczął las brzozowy
I milczy ... milczy ... widać mu nie dano,
Ażeby skargą jęknął rozpłakaną
Nad wieńcem liści, więdnących u głowy.

Może się wsłuchał w cichy szept potoku,
Co blaski słońca wieczornego chłonie,
I tak zapomniał o grożącym skonie
I o tej burzy, co przyspiesza kroku.

Zerwał się wicher i z chmury niewielkiéj
Spadł deszcz rzęsisty, i las się z marzenia
Zbudzi i głośno nad sobą zabiada:

Na mchy i paproć płyną łez kropelki,
A z niemi razem liść po liściu spada
I — w tłum szkieletów cały las się zmienia.

3. Powiał chłód nocny ... Drzewa pieśń jesienną
Nucą po cichu — nad kolebką własnéj
Zagłady ... Z chmurek wyjrzał miesiąc jasny
Jak upiór, głębię rzuciwszy bezdenną.

Nędzną wioszczynę sen otulił w sploty
Wrześniowych zmroków ... Z karczmy tylko bije
Dumka[1]) pijana, która tyle kryje
Dzikiego bólu i dzikiej tęsknoty.

I ona zmilkła ... Umilkł głos ochrypły ...
Cyt! ... to chróst trzeszczy, to wrota zaskrzypły;
Ostatni wieśniak spać do domu kroczy.

Jutro się zbudzi, znowu o pół doby
Bliższy tej śmierci, co tam gdzieś, w żałoby
Zielsko owita, wlepia weń swe oczy.

Asnyk:

Noc pod Wysoką[2]).

Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową
Wciąż wyrastały prostopadłe ściany,
I wciąż się zdawał oddalać na nowo
Wierzchołek w słońca promieniach kąpany:
Więc trzeba było myśleć o noclegu,
Zanim nas zdradne ciemności zaskoczą
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom
Wciśnięta między dwa ramiona góry
Kotlina, pełna granitowych łomów,
Które zdaleka sterczały jak mury

1) dumka »trauriges Liedchen«.
2) Bergspitze in der Hohen Tatra.

Zdobytej twierdzy lub zburzonych domów.
Była to naga, posępna kotlina,
Cieniem dwóch groźnych wierzchołka piramid
Pokryta. — W głębi toń jeziorka sina
I mchu na głazach zielony aksamit ...
Zresztą ni trawki, ni krzewu — jedynie
Woda, i głazy, i mchy w rozpadlinie.

Tu na jeziora zeszliśmy wybrzeże
Między zwalone bryły granitowe,
By obrać sobie ciche na noc leże
I mech jedwabny podesłać pod głowę
W miejscu, gdzie wielkie głazy pochylone
Od nocnych wichrów dawały osłonę.
Na niebie jeszcze dzień panował biały,
A słońce, góry zasłonięte grzbietem,
Barwiło w szczytach wyzębione skały
Złotem, purpurą albo fioletem ...
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem
Tuż nad zmrożonem jeziorka zwierciadłem,
Co, z brzegów w śniegi oprawne i lody,
W dali marszczyło czerniejące wody.
Patrzałem — jako w pracy nieustannéj
Fala srebrzystą powłokę podmywa,
Aż tafla lodu, dźwięk wydając szklanny,
Pęka i dalej z szelestem odpływa;
Patrzałem — jako na posępnej toni
Kra oderwana krąży wkoło brzegu,
Jak jedna drugą potrąca i goni,
Na trud próżnego skazana obiegu ...
I żałowałem, że się próżno kręci,
Przypominając sobie ludzką dolę,
W której, ach, nieraz wszystkie dobre chęci

W zaklętem muszą obracać się kole ...
Tymczasem dołem gęstsze cienie rosły,
Bory zsiniały pod mgieł mleczną szatą
I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,
Pobladł i barwę przyjął popielatą.
Wraz z znikającą jasnością promienną
Ostatnie życia uchodziły ślady ...
Mrok zwiększył martwość pustkowia kamienną, —
I obszar zastygł, posępny i blady,
I swym straszliwym przytłoczył ogromem
Myśli zbłąkane w państwie nieruchomem.
Geniusz tych wyżyn, surowy i groźny,
Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma,
Swego oddechu słał mi powiew mroźny
I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,
Rozpościerając dokoła nade mną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną,
I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata, —
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie
I chce się cofać przed nieznaną mocą,
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
Przed niezbłaganem, bezlitosnem prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem ... tajnem ... nieujętem ...

Uczuciem takiej grozy pokonany,
Między zaciszne powróciłem ściany,
Gdzie towarzysze legli już strudzeni
Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni;

I sam złożyłem głowę na posłaniu,
W półsennem teraz pogrążon dumaniu.

Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
Nawet błękity niebios przeźroczyste,
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,
Stały się więcej ciemne, przepaściste —
I tylko ową błękitną ciemnotę
Gdzieniegdzie gwiazdy przetykały złote.
Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
I wyrównała wnętrza gór podarte;
Zostało jedno wielkie rusztowanie,
Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,
Ponad którymi dwie wierzchołka wieże,
Dwa wyniesione ostrokręgi cieniu,
Chwiać się zdawały w niebieskim eterze
Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu.
Cisza! A jednak w tej pozornej ciszy
Wsłuchane ucho ciągłe wrzenie słyszy, —
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,
I pękających głazów łoskot głuchy,
I wszystkie świata nawpół senne ruchy.
Czasami skała u szczytu wisząca
Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem
O najeżone ściany się roztrąca;
Huk długo echa powtarzają potem —
Aż rozsypany głaz na drobne części
W wąwozie gradem kamieni zachrzęści ...

I znowu wszystko wraca do spokoju;
Tylko, jak dawniej, szepcą z sobą góry

Podmuchem wiatru i szemraniem zdroju;
I znowu płynie cicha pieśń natury
W gwiaździste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże, i zlewa, i brata
Z całą harmonią zaziemskiego świata.

W ślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile,
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży
I o boleści, co go we śnie trwoży ...
On się zanurzył w źródle wiecznie-żywem,
Poruszającem wielkie koło bytu;
Uczuł się jednem łańcucha ogniwem,
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

Adolf Dygasiński:

Wilk, Psy i Ludzie (Abschnitt 1).

Witajcie mi, witajcie Nadnarwiańskie[1]) lasy! Wasza woń i świeżość zdaje się jeszcze pieścić i upajać mnie dzisiaj, choć już dwadzieścia lat temu, jak was pożegnałem. Obraz boru, jak wszedł w duszę, tak w niej pozostał ze wszystkimi szczegółami. I oto widzę przed sobą reprezentantkę naszej szpilkowej roślinności, sosnę. U dołu niema ona gałęzi, jest wysokopienna, czerwonawa, leni się[2]) cieniutkiemi warstewkami, jakby pieniążkami, rozrzuca swą korę dokoła. Wyżej pokryta jest sękami i sęczkami; w górze nosi koronę, jak jeleń, rosochatą, rzadką w konary, pomiędzy którymi wysoko czernieje gniazdo wronie, jastrzębie lub krucze. Przysiada ją niekiedy zielona jemioła, co ku dołowi opuszcza kołpak swych liści, tak żywo połyskujących, bo na cudzej wypasionych skórze. Przy ziemi sterczą korzeniska, leży mnóstwo szyszek, oraz igieł, tych materyałów budowlanych dla mrówek. Z tych owadów jedne oto dźwigają taką igłę, rozparłszy się całemi siłami jak dwa mocne chłopy; inne odbywają staranne poszukiwania w szyszkach, zalazłszy w każdy ich zakątek, a inne wybrały jeszcze uciążliwszą podróż het ku wierzchołkowi drzewa. Alić przyleciał piękny, pstry dzięcioł, lekko przysiadł na drzewie, okiem bystro objął pozycyę i zaczął tu swoje gospodarstwo. Strach wielki wśród pracowitego narodu mrówek. Każde stworzenie zna swoich nieprzyjaciół, umie ich dopatrzeć, dosłyszeć, zwietrzyć. Więc te, które były blizko podstawy sosny, czemprędzej na ziemię schodzą, niektóre chronią

1) Nadnarwiański »an der Narew« gelegen.
2) lenić się »sich häuten«.

się na szczyt drzewa i na jego gałęzie, a inne chcą oszukać nieprzyjaciela i chowają się w kryjówkach pod korą. Daremnie! Dzięcioł należy do drapieżników jawnie napadających na swą zdobycz. Krzyknął głośno — raz — drugi raz ... potem dzióbem stuka, jak młotem, wali w korę. Strach wielki pada na ukryte owady, ten huk ogłusza je strasznie i prawie, że pozbawia przytomności umysłu; wyłażą na wierzch, przerażone, zaczynają zmykać; ale cóż im to pomoże wobec dzięcioła? Wiewiórka, przestraszona zgiełkiem, wyskoczyła także jak bomba z dziupli swojej; podskakuje, niby piłka rzucona, lub sunie w górę zręczniej od dzięcioła; zadarła[1]) swój ogonek, zasiadła na dwóch łapkach i ciekawem okiem przygląda się dzięciołowej pracy.

Przy jednem drzewie tylę istot żywych, choć wszystkich przeliczyć nie zdołamy przecież. I ćmy[2]) i pajączki, chrząszczyki świat tu sobie założyły. Było im dobrze, bezpiecznie, przyjemnie wśród żywicznej woni, aż po chwilę, kiedy nieprzyjaciel wytropił schronienie, zniszczył rodzinne gniazda i rozrzucił je, a założycieli rodzin pozabijał, porozpędzał na cztery wiatry. Nie w prostym kierunku, ale dookoła, jak śruba, mknie dzięcioł w górę, nurtuje wszędzie państwo owadów. Taki zły, choć taki piękny: szaty jego jaśnieją szkarłatem i jedwabistym połyskiem! Podchodzi ku szczytowi; wiewiórka parsknęła i dzięcioł odleciał do innej sosny; on także boi się widać kogoś.

W gęstwinie świerku, po jego szarej korze, między powyginanemi gałązkami, uwija się całe stado popielatych i modrych sikorek, tych kolibrów naszych krajowych;

1) zadrzeć ogon »den Schwanz in die Höhe biegen«.
2) ćma »Nachtschmetterling«.

piszczą i szczebiocą sobie z cicha, jakby wiodły poufną jakąś dysputę, a przytem prowadzą zawzięte łowy na komary, poszukujące cienia, na świętojańskie robaczki, sprężyki itd. Stary świerk stoi, niby na kopcu, na stosie swych opadłych i uwiędłych szpilek; niedaleko wyrosło kilku synów jego, którzy podobni są do małych gotyckich wieżyczek, otaczających wielką wysmukłą wieżę w tymże stylu.

A dalej czerni się gąszcz młodego drzewstwa[1]), które przysłoniło ziemię swoim parasolem, tak, iż się tu nie przedrą promienie słoneczne i przeto na ziemi gdzieniegdzie tylko kępka wysokiej trawy porasta. Zimą przez gąszcz ten przechodzi główny trakt zwierzyny. Tędy sunie zając, a za nim trop w trop lis ściga; tutaj wilki zbierają się na wiece; tu odyniec zakłada legowisko, spodziewając się wytchnienia przed ludzką napaścią. I zwinna kuna przemyka się tędy i sarna goni pierzchliwa. Historyę nocy może każdy odczytywać w zimowy ranek ze śladów, które mieszkańcy lasu zostawili po sobie na śniegu.

Idziesz dalej, a po drodze furknie ci przed nogami z krzykiem drozd, albo się zerwie wrzaskliwa sójka. Wobec wspólnego wroga, wszystkie żywe istoty lasu mimowolnie wchodzą w związek solidarny. Gdy sójka wrzaśnie, wtedy ma się już na baczności i zając zaspany pod krzakiem, i wiewiórka na gałęzi, i motyl się z kwiatka porywa.

Kończy się gęstwina szpilkowej młodzi; widać porębę. Z poręby można się już niebu dobrze przypatrzeć. Słońce świeci tu i przygrzewa. Na słońce wychodzą z lasu węże i jaszczurki, aby się w porębie wylegiwać; o

1) drzewstwo »Gehölz«.

południu zaś gromadzi się wszelki owad leśny, wzdychający do jasnych promieni światła. Brzęczą tu rozmaite muszki; ważki i szklarze bujają w powietrzu; motyle przelatują to górnym, to dolnym szlakiem — białe, szare, niebieskie, żółte, duże i małe. I bezskrzydłe mrówki, zielone pająki i czarne szczypawki, siedmiokropki albo biedronki — krzątają się raźno. Koniki polne hasają, skaczą; świerszcz przygrywa do tańca, do zabawy powszechnej. Pod wpływem promieni słonecznych zrodziła się chyba energia i uczucie szczęścia organizmów. Więc nie dziw, iż w dzień biały, ciepły — panuje ruch tak powszechny. Wszystko się kształci, doskonali, wzrasta, każde stworzenie używa życia, jak umie.

Niema kwiatka, w którymby jakiś owad nie pracował; gęsta trawa wstrząsa się od ruchu drobnych stworzeń, które chyłkiem i milczkiem pełzają po samej ziemi. Osy, szerszenie, trzmiele brzęczą. Czasem jak kula, wypada z gąszczu drobna, szara ptaszyna, pogoni za motylem, schwyci go i znika. Niech się tu pokaże człowiek, koń, sarna, wogóle większe jakie stworzenie, a w mgnieniu oka opadną je krwi chciwe gzy z wielkiemi oczyma, wpiją się w ciało i raczej śmierć przeniosą nad porzucenie swej ofiary.

Nastrojona wyobraźnia ludzka nie zawsze w duchu prawdy pojmuje przyrodę. Bawi człowieka ten ruch istot żywych, ale czyż się myśli zawsze, że nie wszystko tu jest szczęściem i weselem? Przedewszystkiem te stworzenia bardzo ciężko pracują, walczą jedne z drugiemi. Nie każdy głos jest tu głosem szczęścia. Jest także dużo i cierpień i bólu. Miliony jestestw pada w krwawych zapasach o kawałek chleba, o uczucia swoje, o prawa: jedne giną, aby żyły drugie. Każdy się bowiem broni, każdy walczy, ale nie każdy zwycięża. Życie ziemskie,

oraz ziemia sama, aby się zapłodnić, potrzebują trupów, aby życie rozwijać dalej. Więc gdy jedni święcą pogrzeby i żałobę, drudzy ich kosztem wyprawiają wesela i uczty. W walce o istnienie znajdujemy tak dobrze trupy mrówek, świerszczów, motyli, jak zwłoki ludzi i różnych ssaków. Bo nic się nie organizuje bez dezorganizacyi. Wszędzie jest wojna, wszędzie bohaterowie, tryumfatorzy i bohaterzy-męczennicy. Pająk usnuł piękną, symetryczną i jakby z jedwabiu siatkę, na którą poeta patrzałby ze zgrozą, gdyby się w niej łowili ludzie, zamiast much i komarów.

Wśród liściastych drzew i krzewów, znów inny rodzaj życia panuje. Rumieni się kalina; drżą srebrne liście osiki; biało połyska brzoza; szumi górą dąb stary, wiązy i grabina; jeżyna dołem się słania, bujnym swym liściem przykrywa grzyby; rozłożyste paprocie, gęsto usiane borówki, poziomki, szczawie zajęcze, kępy przylaszczek rosną naprzemian z sasankami, konwalią, pierwiosnkami. W leszczynie cieniuchnym głosikiem śpiewa a śpiewa pokrzewka i zielona żabka wtóruje jej niby grzechotką; na sęku dębu zięba nuci krótką, lecz powabną piosenkę, a ponad nią wesoło pogwizduje wilga, przerzucając się z gałęzi na gałąź, jak kłębek szczerozłotych nici. Tęsknym, urywanym głosem gil w oddaleniu poświstuje, a tęskniej jeszcze od niego jakieś pisklę nawołuje z gniazda ku sobie zabłąkaną kędyś matkę. Wśród gąszczu liści słychać w górze gruchanie gołębi, a ponad tem wszystkiem od czasu do czasu zakraka kruk w przelocie.

Nowe znów obrazy życia roztaczają się około leśnych strumieni, źródeł, moczarów i bieli. Strumień rwie się przez mchy, zarośla, korzenie drzew; ale tyle spotyka on przeszkód, że wreszcie traci niejako swą siłę, gubi

łożysko, spływa po wierzchu, rozlewa się wokoło, wsiąka w ziemię; tworzy bagno. Woda przybywa nieustannie, powstaje jeziorzysko. Rosną dokoła sitowia, rokiciny, wikle, tataraki, olszyna się rozpuszcza, korzeniami grzązki grunt trzyma; do niej tulą się sztywne trawy, skrzypy, a gdzieniegdzie wykwita storczyk lub bukiet kaczyńcu; wśród wód wznoszą się tu i owdzie, jak wysepki, zielone kępki, pokryte trawą bujną, rdestem wodnym i niezapominajkami. Ale sam środek jeziorzyska albo bieli, trudny do przejrzenia. Wody zebrało się tu dużo, a żadne jej brzegi nie hamują; płynąć nie może już dalej, bo oto wzgórze na drodze spotkała, więc cofa się napowrót i rozlewa na wszystkie strony. Lecz nim zalała okoliczne miejscowości, zebrała się głównie w jednej kotlinie. Jest to więc biel. Niegdyś rosły tu drzewa, ale pogniły, tylko nagie, czarne pale sterczą po nich nad wodą, po powierzchni której pływa rzęsa, pływają także szerokie liście grzybienia, a wielkie, białe, oraz żółte kwiaty tej rośliny, unoszą się nad wodą, podobne do starożytnych rostruchanów. Wysmukła trzcina, to rośnie kępami wśród wód, to brzegiem gęsto porasta, woda ją wzrusza, wiatr nią kołysze i stąd dziwne szumy, skrzyp oraz gwizd przerywają ciszę tego ustronia. Czasem kurka wodna wypłynie, łyska skrajami się przemyka, cyranka z potomstwem żeruje, zapadają wielkie kaczki krzyżówki i wśród trzcin, oraz tataraków rozpoczynają pilne poszukiwania. W noc księżycową słychać tu ciągłe pluski; biel nakrywa się mgłą gęstą, jakby przysłonić chciała swoje tajemnice. Latem o świcie ruch i życie zaczyna się po bielach. Kto się przybliży, ten usłyszy gwary i głosy różnorodne. Oto wielki kaczor wzniósł się nad wodę, niby stoi na jej powierzchni, skrzydłami trzepoce w powietrzu, wrzeszcząc donośnie: tak . . . tak . . . tak! . . .

Całe stado niebawem powtarza za nim to samo hasło. Niektóre młode wprawiają się w nurkowanie, inne opuściły dziób i szyję pod wodę, a tył ciała ustawiły pionowo. Na brzegu stoi czapla zadumana jakoś poważnie, zdaje się być obojętną na wszystek ten zgiełk wielki. Dwie bielutkie mewy, z dalekich stron przyleciały tu z wiatrem, przenocowały, a rankiem odbywają jeszcze przegląd bieli. Muskają wodę, rzucając się w górę, szybują, to znowu jak kule spadają ku dołowi. Nadbrzeżną kałużę obsiadły małe kuliki z pliszkami. Około kępek po błocie gonią bekasy i dubelty. Czasem porwie się który. wzleci, krzyknie i znów spada na bagno.

Wtem nagle na wodę padł cień jakiś olbrzymi, jakoby czarna płachta odbiła się na bieli. Przeciągły pisk zabrzmiał po wszystkich bagienkach, wpo odzie zaś rozległ się plusk przeciągły, rzekłbyś, iż jakieś ciężkie cielsko przewlokło tędy ... to ptactwo wodne się chroni. Wszystko ucichło, pierzchło, bo oto olbrzymi jastrząb, łowca i pierwszy po człowieku tępiciel skrzydlatej zwierzyny odbywa ranne odwiedziny; potrzeba mu właśnie podatku krwi i życia od istot słabszych. Przeleciał nad samą powierzchnią wody powolnie, ciężko, bacznie dokoła siebie obserwując. Nic nie widać. Pośpieszył ponad zielone kępki, zrywają się kszyki i trwożliwe głosy niosą w powietrze. Ale któż kszyka dogoni? ... Zawiedziony łupieżca wzbił się w górę i usiadł na samym szczycie sąsiedniego drzewa.

Mickiewicz:

Aus dem »Pan Tadeusz« (4. Buch, V. 479—565)[1]).

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne[2]) krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice;
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłod, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
J siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem,
Dalej spotkać się z większem masz niebezpieczeństwem;
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe napoły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą,
(Wielkie jest podobieństwo, że djabły tam siedzą).
Woda tych studni śklni się[3]), plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą wokoło wody, jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

1) Das Hauptwerk von Mickiewicz erschien zuerst Paris 1834. 2) przepastny »abgründig«. 3) śklnić się = lśnić się »schimmern«.

Za temi jeziorkami już nie tylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem;
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich[1]) oparzelisk wznosi.
A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona;
W niej jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
W samym środku (jak słychać) mają swoje dwory,
Dawny Tur, Żubr i Niedźwiedź, puszcz imperatory.
Około nich na drzewach, gnieździ się Ryś bystry,
I żarłoczny Rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś, jak podwładni, szlachetni wassale,
Mieszkają Dziki, Wilki i Łosie rogale.
Nad głowami Sokoły i Orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów, dworscy zausznicy.
Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu[2]);
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój smętarz[3]), kędy bliscy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby strawy nie przeżuwa,
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,

1) trzęski »schwank«. 2) używają wczasu »genießen die Ruhe«. 3) smętarz umgestaltet (smętny!) aus cmentarz.

Kruk, gdy już posiwieje, sokoł, gdy oślepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
Idą na smętarz. Nawet mniejszy zwierz, raniony
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.
Stąd to w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości[1]),
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
Słychać, że tam w stolicy, między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, ni bodzie,
Nawet gdyby tam człowiek wpadł chociaż niezbrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim, szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze, co się w ogrojcu gnieździły,
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,
Uciekają, skowycząc, z obłąkanym wzrokiem;
I długo potem ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.
Te puszcz stołeczne, ludziom nieznane tajniki,
W języku swoim strzelcy zowią: *Mateczniki*[2]).

1) gościć »verweilen, sich aufhalten«. 2) Matecznik ist eigentlich »das Mutterhaus im Bienenstock«.

Mickiewicz:

Sonety Krymskie[1]).

1. Stepy akermańskie[2]).

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi,
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu;
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi:
Tam zdala błyszczy obłok? tam jutrzenka wschodzi?
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu!

Stójmy! ... jak cicho! ... Słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż ślizką piersią dotyka się zioła ...
W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy ... Jedźmy, nikt nie woła!

2. Cisza morska.

Na wysokości Tarkankut[3]).

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie,
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda;
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi, gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiało się grono.

1) Erschienen im Jahre 1826; das Jahr vorher hatte der Dichter die Krym besucht. 2) Akkerman, Stadt am Dniestr-Liman. 3) Die Halbinsel Tarchantkut auf der Krym.

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę[1]) długiemi wywija ramiony.

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

5. Widok gór ze stepów Kozłowa.
Pielgrzym i Mirza.

Pielgrzym.

Tam? ... Czy Allah postawił ścianą morze lodu?
Czy aniołom tron odlał z zamrożonej chmury?
Czy Diwy[2]) z ćwierci lądu dźwignęli te mury,
Aby gwiazd karawany nie puszczać ze wschodu?

Na szczycie jaka łuna! pożar Carogrodu! ...
Czy Allah, gdy noc chylat[3]) rozciągnęła bury,
Dla światów żeglujących po morzu natury,
Tę latarnię zawiesił śród niebios obwodu? ...

Mirza.

Tam? — Byłem: zima siedzi; tam dzioby potoków
I gardła rzek widziałem pijące z jej gniazda;
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał, pomykałem kroków[4]),

Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda,
Minąłem grom drzemiący w kolebce z obłoków
Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda:
To Czatyrdah!

Pielgrzym.

Aa!!

1) Na ciszę »bei Meeresstille«. 2) Diw (persisch) »böser Geist, Dämon«, die Untergebenen des Ahriman.
3) chylat aus arab. chil'at »Ehrenkleid«. 4) pomykać kroków »die Schritte beschleunigen«.

6. Bakczysaraj[1]).

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina!
Zmiatane czołem baszów ganki i przedsienia,
Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,
Przeskakuje sarańcza[2], obwija gadzina.

Skróś okien różnofarbnych powoju roślina,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia,
I pisze Balsazara głoskami »RUINA«.

W środku sali wycięte z marmuru naczynie:
To fontana haremu[3], dotąd stoi cało,
I perłowe łzy sącząc, woła przez pustynie:

Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało!
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie;
O hańbo, wyście przeszły, a źródło zostało.

10. Bajdary[4]).

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów;
Lasy, doliny, głazy, w kolei, w natłoku
U nóg mych płyną, giną jak fale potoku;
Chcę odurzyć się, upić tym wichrem obrazów.

A gdy spieniony rumak nie słucha rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem mroku,
Jak w rozbitem zwierciadle, tak w mem spiekłem[5]) oku,
Snują się mary lasów i dolin i głazów.

1) Die alte Hauptstadt der Giraj's, der Dynastie der Chane der Krym vom 15. bis 18. Jahrhundert. 2) Die Wanderheuschrecke (ru. saranča). 3) Vgl. Puškins 1822 entstandenes Gedicht: »Bachčisarajskij fontan«. 4) Schönes und fruchtbares Tal zwischen Sewastopol und Jalta, durch das man an die Südküste der Krym gelangt. 5) spiekły »zusammengebacken«, hier etwa = zmęczony

Ziemia śpi, mnie snu niema. Skaczę w morskie łona,
Czarny, wydęty bałwan z hukiem na brzeg dąży,
Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona.

Pęka nad głową fala, chaos mię okrąży:
Czekam, aż myśl jak łódka wirami kręcona,
Zbłąka się i na chwilę w niepamięć pogrąży.

18. Ajudah[1]).

Lubię poglądać wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się buchają, to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbiją na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi,
Zdobędą ląd w tryumfie, i napowrót zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody:
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twej szkody

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

Sieroszewski:

»**Na kresach lasów**« (Anfang)[2]).

Dziwny widok przedstawia las podbiegunowy! Cmentarz to raczej, gdyż zaprawdę więcej tu leży pni zwalonych, niż żywych korony wznosi ku niebu. A i te

1) Aju-dah, Berg am Südufer der Krym, nicht weit von Jalta. 2) Erschien 1894.

ostatnie stoją nizkie, cherlawe[1]), nawpół uschłe, skrzypią żałośnie w pałąk zgięte, rzadkim liściem odziane szkielety, zdając się za najmniejszym wiatru podmuchem żebrać o zgon rychły. Na ziemi leżą kłody — tu stare, zmurszałe, zgnilizną tchnące, warstwą mchów i liszai pokryte, owdzie świeże jeszcze, żywicę z ran swoich sączące — leżą, rozpostarłszy szeroko gałęzie, potraciwszy w upadku kruche wierzchołki, pojedyńczo lub kupami, gwałtownie z ziemi wyrwane, ze szmatami torfu i darni. Korzenie ich sterczą do góry, niby konwulsyjnem konaniem wykręcone stopy nieboszczyków.

Tak — to pobojowisko! Tu się toczy walka zajadła, nieubłagana, między wichrami, jałowością gleby a lasem. Poległo już wielu bojowników, ale bój nie skończył się jeszcze, o czem świadczą wymownie młode latorośle, świeżo wyrastające pomiędzy chróstami. Chciwe słońca, powietrza, pewne praw swoich, szeroko rozstawiają kosmate swoje łapeczki, wyścibiają kędzierzawe pachnące czubki blado-zielonych, iglastych gałązek ponad ciałami zabitych i w cieniu umierających. Przyjdzie czas, że i one gwałtowną zginą śmiercią, ale nie zginą napróżno.

Od północy, od morza, przez nagie tundry dmą wichry niczem nie hamowane w szalonym swym biegu i uderzają gwałtownie o młode bory. Zimno i nagłe skoki temperatury szkodliwie oddziaływają na młode drzewa, rzadko rosnące na skraju lasu, a ziemia, która tylko na parę cali odmarza w ciągu krótkiego lata, nie pozwala im głęboko zapuścić korzeni. Te prawie na powierzchni pełzają u stóp drzew, poczwarnie[2]) pogięte, niby gniazdo ukropem polanych węży, wskutek czego pozbawione dostatecznego pokarmu i oparcia drzewa rosną wątłe,

1) cherlawy (chyrlawy) »kränklich«. 2) poczwarnie »häßlich«.

chwiejne i padają za pierwszem uderzeniem silnego wichru. Powalone, ciężarem swym jednak przygniatają korzenie otaczających, dając im oparcie, które pozwala stać mocniej i rosnąć wyżej.

Zatem może kiedyś, gdy rozkład i próchno umarłych wzbogaci soki ziemi, pojawią się nowe pokolenia, liczne, silne, zdrowe, wspólnemi siłami odmienią klimat, wchłoną wilgoć, wstrzymają wichry, ulepszą i rozgrzeją glebę, a wówczas tam, gdzie niegdyś padli pierwsi bojownicy, pokorni i beznadziejni, zaszumi bór potężny i zielony, mogący oprzeć się wszelkiej wichurze. Dziś te lasy blade, rzadkie, ubogie, można porównać tylko do rudej sierści parszywego rena, lub do garści starych pordzewiałych igieł i drucików, do połamanych patyczków i gałązek niedbale powtykanych w poduszki płaskich wzgórzy, okrytych gąbczastymi, wypłowiałymi mchami.

W oprawie nędznych, głuchych borów tem majestatyczniej wyglądają olbrzymie, srebrne, gwarne jeziora. Jest ich tu moc niezmierna, różnej wielkości i kształtu i na różnym leżących poziomie — ziemia ta bowiem stosunkowo niedawno wyłoniła się z głębi morza, cała jeszcze perli się[1]) i jak wodnica, wychodząca ze zdroju, ocieka wodą. Dawno już jednak wody tutejsze utraciły swój rodzimy charakter! Wiosenne wylewy wypłukały z nich sól i gorycz, a brzegi dawniej płaskie i nagie wzniosły się i, obrósłszy lasem, zmieniły ich falę morską, ciężką i potoczystą, na krótką, pluskającą i figlarną falę wód słodkich. Im dalej uciekał od nich ocean, im wyżej rósł las okoliczny, tem one stawały się cichsze, leniwsze, spokojniejsze, jak dzikie niewolnice ugłaskane i pozbawione wszelkiej nadziei. Dziś lekki wietrzyk zaledwie

1) perlić sie »perlen, wie von Perlen glänzen«.

marszczy ich oblic a senne, gładkie, w niebo zapatrzone i otoczone rąbkiem traw i krzewów. Tylko, gdy daleko, w ojczystem ich morzu zaszumi burza, niosąc w szalonych podskokach olbrzymie, rozpasane[1]), ryczące bałwany, wówczas i one poczynają dyszeć namiętniej, podnoszą do góry spienione łby, jakby raz jeszcze ujrzeć chciały utracony na wieki świat, a zawiedzione biegną w gniewnych pląsach na nizkie brzegi i, uderzając o nie gwałtownie, rozsypują się i nikną bez śladu, pozostawiając po sobie tylko długi, przenikliwy jęk. Każde jezioro ma odmienny łoskot fal i każdy podmuch wiatru inne wydobywa z nich tony. Te dźwięki, zmieszane z szumem drzew i wiatru poświstem, tworzą dziką, jednostajną, a dziwnie rzewną, smętną melodyę, pełną jakby żalu i płaczu po utraconej swobodzie. Słuchając jej, smutnieje wesoły Tunguz, zabłąkany tu w pogoni za zwierzyną, uczuwa jakieś tajemnicze drgnienia swej prostej duszy i modli się; Jakut — praktyczny rybak — zatrzymany niepogodą w swej wędrówce po jeziorach na wątłem czółnie, leży na wilgotnym brzegu, u tlejącego ogniska, a ogarnięty silniejszym niż kiedykolwiek poczuciem swej zależności od nieznanych potęg, wtóruje piosenką echom burzy i marzy o lepszej przyszłości.

Jezioro Andy niegdyś słynęło szeroko z tych szumów, z ogromu oraz posępnej piękności swych brzegów. Ciemny, wysoki, lasem porosły przylądek wrzynał się daleko w sam środek wód jego i dzielił je na dwie równe prawie połowy. Ale stojące na samym dzióbie przylądka kosmate modrzewie daremnie wznosiły wysoko śpiczaste swe czuby — nie widać ich było z przeciwnych brzegów. Zewsząd otaczała je toń bezbrzeżna — to błękitna, to

1) rozpasany »zügellos, tobend«.

szara, to gładka, to postrzępiona falami, zależnie od pogody i wiszącego nad nią nieba. Wązka, nizka, lasem porosła szyja, rysująca się blado na połyskliwem tle otoczenia, łączyła urwisko z resztą głuchej tajgi[1]). Powiadają, że podczas burzy i ta spójnia[2]) ginęła pochłonięta przez wodę, i przylądek stał czarny, samotny, wysoki a drobny wśród przelewających się siwych bałwanów, obryzgany pianą, drżący od uderzeń, ogłuszony łoskotem, który tu właśnie miał się rozlegać szczególnie przeciągłem, żałosnem graniem.

Może dlatego lubili go odwiedzać strwożeni i smutni, a ślady ich odwiedzin i przyniesionych ofiar po dziś dzień widzieć się dają na gałęziach drzew, na krzewach, na ziemi, na łysych polanach i wzgórkach. Są to kupy potrzaskanych reniferowych rogów i kości, wiszące na sękach, nawpół zgniłe skóry z rogami i racicami, szmatki kolorowych tkanin, pęki włosia, sznury i pióra. Tu i owdzie, wśród skołtunionych gąszczy, migają, jak gwiazdy, wybielałe czaszki bydlęce, dzwona[3]) kości pacierzowych, nasadzone na kołki, a nawet duże, z chróstu i pałek uplecione gniazda, tkwiące wysoko, a na nich szkielety nieznanym obyczajem dawno pogrzebionych ludzi. Na dole zaś, zwykle u stóp pni starych, dziuplastych, krępych, krętych lub niezwykle sękatych, siedzą oparte o nie mumie zaginionych jakichś ludów, chyląc w zagadkowej zadumie puste i nagie czaszki nad szczątkami oręża i naczyń, porzuconych tu niegdyś przez żywych dla ich wyłącznego użytku.

Dziś nikt nie odwiedza »Przylądka umarłych«, jak go tu nazywają po starej pamięci, a i on sam przestał

1) tajga »unbewohnte, vor den Tundren gelegene Landstrecke«. 2) spójnia »Verbindung«. 3) dzwona kości pacierzowych »Wirbel von Rückenmarksknochen«.

już być przylądkiem, gdyż otaczające go niegdyś jezioro znikło już dawno. Jego olbrzymie bałwany odszukały gdzieś w marnych swych brzegach rozpękłą od zimowych mrozów szczelinę, rozmyły[1]) ją, rozwarły i po ślizkich grzbietach sąsiednich wód, głębokim parowem poblizkiej rzeczki uciekły z wesołym pluskiem do morza. Dziś na ich miejscu łagodnie szumią miękkie, soczyste trawy i blado-zielone rokity, wśród których miejscami tylko połyskują resztki byłych toni. A ślicznie wyglądają te małe, okrągłe lub podłużne stawki, ukryte w zielonej trawie, a mieniące się wszystkiemi barwami dnia czy nocy, niby krople żywego srebra, zapomniane na dnie, jak step rozległej, jak malachitowa czasza zaklęsłej łąki.

W zimie tu po dawnemu biało i wietrzno; o zaszłej przemianie mówią tylko mleczne słupy dymów, z trudnością rozpływające się w stężałem powietrzu, czerwone gwiazdeczki ogni, niknące lub pojawiające się podczas mroku w chorowodach rzeczywistych gwiazd, rozsianych nizko nad stepem, oraz stada półdzikich koni różnej maści, błądzących po polu i wygrzebujących sobie pokarm z pod śniegu. W sadybach okolicznych przemieszkiwali Jakuci, nawpół osiadli, nawpół koczujący, po większej części rybacy, cokolwiek pasterze i łowcy, ubodzy, dzicy, zawsze i wszędzie wszelkimi dostępnymi dla nich środkami starający się przedewszystkiem wyciągnąć pożywienie z otaczającej ich przyrody.

Już było pod koniec marca i przednówek, co rok nawiedzający o tej porze chaty krajowców, był w pełni rozwoju. Począł się on wcześniej, niż zwykle, gdyż przeszłoroczny połów ryb okazał się nadspodziewanie lichym i nagromadzonych zapasów starczyło zaledwie do

1) rozmyć »ausspülen«.

Trzech Króli, a obiecywał trwać długo, gdyż chmurna, wietrzna i śnieżysta aura, miarkując gorąco południowych godzin i zimno nocy, nie pozwalała zakrzepnąć na śniegach warstewce lodu, mogącej dźwigać biegnących na łyżwach myśliwców lub więzić laskonogich łosi i renów, które poczęły schodzić z gór na doliny. Po zimowym poście, była to pierwsza nowalia puszczy, pierwsza zdobycz, na którą można było na pewne liczyć i o której warto było wspominać. Była też ona pewniejszą, niż poprzedzający ją cokolwiek połów olbrzymich miętusów za pomocą płotów, plecionych z wicin[1]) i koszów, stawianych pod lodem w jeziorach, lub czerpanie »kojurami«[2]) drobnej, odrętwiałej rybki z głębokich odmętow, gdzie ona, leżąc w ile, przezimowała. W walce nadziei i rozpaczy, toczącej się w sercach nawiedzonych przez klęskę ludzi, brane też były w rachubę i te przewidzieć się dające okoliczności, mogące pozbawić ich spodziewanej zdobyczy, lecz w gawędach nikt o tem nie wspominał, gdyż grzechem było i niebezpieczeństwem mówić głośno o rzeczach tak blizkich, tak upragnionych, a tak wątpliwych! Zresztą prób nie przedsiębrano jeszcze żadnych: znaki, zwiastujące, że czas dla nich odpowiedni nastąpił, zależne od stanu pogody, jeszcze się nie pojawiły. Ale mogły się pojawić lada dzień, lada godzinę, lada chwilę nawet, i to właśnie czyniło oczekiwanie tak gorączkowo napiętem, to podniecało ducha i pozwalało ludziom wytężać nad miarę siły i, nie bacząc na nieskończone męki chwili obecnej, przedłużać nędzne życie.

Jeszcze chwilkę ... chwilkę tylko ... a może ... a może ona już nadeszła, i oni tylko o niej nie wiedzą!

1) wicina »Art geflochtener Korb«.
2) kojur »eine Art Netzsack«.

... Gdy więc który z cierpiących głód budził się z bolesnej, febrycznej drzemki, to wlókł się przedewszystkiem spojrzeć na niebo.

»Wiatr cichnie! ... pogoda!« wołał głośno, radośnie, wracając ze zwiadów, a twarze słuchających rozpromieniały się.

Lecz. jeśli »chmurno, zimno« wyszeptał za powrotem, chmurniały oblicza i myśli, gorączką rozpalały się na nowo oczy, podniesione głowy opadały na posłanie i słabły członki. Ogarniał ich znowu ciężki, letargiczny sen głodowy, pełen nęcących obrazów, zapachu krwi i potraw. widoku rozpłatanych ryb, pasącego się spokojnie zwierza, oraz innej łatwej. pożywnej zdobyczy, i gasił wszystko, nawet uczucie rozpaczy! Wszystko! ... prócz bólu zwolna skręcających się i rozkręcających, pustych od dawna wnętrzności. Z odrętwienia budziło ich tylko zimno wystudzonej jurty[1]), które oni brali za okropny dreszcz konania, zmuszało rozpalać wygasły ogień i kupić się koło niego, a gorączka szaleństwa wprawiała w ruch: wtedy wyli, jak wilki, albo pełzali po izbie, jak muchy, obudzone sztucznem ciepłem z letargu, kłócąc się o lada drobnostkę i po raz setny szukając w dawno wymiecionych śmieciach jakiej zapomnianej okruszyny pokarmu.

W małej jurcie, najbliższej »Przylądka Umarłych«, a pozbawionej wszelkich ogrodzeń i dawno już nieoczyszczanej z zasp śnieżnych, odbywało się takie poszukiwanie.

Mieszkańcy jurty przypomnieli sobie o skrytkach jeszcze nieprzetrząśniętych i okazywali wielką energię i ożywienie. Dwie stare baby, jedna w tunguskiej, dobrze

1) jurta »die Jurte, das Nomadenzelt der Jakuten«.

już wyszarzanej, ale wzorzystej i srebrem wyszytej odzieży, a druga Jakutka, w skórzanym, białymi zającami[1]) podbitym kaftanie, ciągnęły z trudnością niewielki, drewniany stół. Stary Tunguz, w odzieży futrzanej, podobnego jak kobiety kroju, tylko bez srebrnych upiększeń, szedł za niemi, niosąc w ręku mały stołeczek, który stawiał na stole, jak tylko ten zatrzymywał się, gdzie trzeba. Poczem przy pomocy kobiet właził na to rusztowanie i szukał na belce pod powałą płaskiego dachu, podnosząc obłoki kurzu i piasku. Baby, zadarłszy do góry kościotrupie twarze, śledziły za jego ruchami, połykając ślinkę.

— No i cóż?

— Nic niema.

— Zupełnie nic?

— Zupełnie. Poczekajcie, jest coś ... — dodał wreszcie po długiej, nadaremnej dokoła jurty wędrówce i, wspiąwszy się na palce, sięgnął ręką głębiej w szczelinę.

Patrzący zatrzymali oddech; ustało ciche, leniwe dziobanie siekierą w ciemnym kącie za kominem; bez ruchu na jednej z ław leżący człowiek podniósł głowę, kobiety przysunęły się jeszcze bliżej do stołu i pożerały oczyma Tunguza, który ostrożnie ciągnął coś dużego, co szeleściło i opierało się. Wreszcie, otoczone kłębami pyłu, upadło na ziemię. Kobiety podniosły je natychmiast, a zwróciwszy się do ognia, poczęły rozwijać.

— Nie ruszajcie! — wrzasnął Tunguz, i z niezwykłą lekkością, bacząc na jego wiek i osłabienie, zsunął się z rusztowania.

— No i cóż?

— Niema nic, pusta szmata. Pożryj ją sobie, stary

1) zające »Hasenfell«.

... tyś taki łakomy! — rzekła stara Jakutka, oddając zawiniątko Tunguzowi.

— Prawda, szmata!

— Śmierdząca ścierka. Dyabeł wie, kto ją tam położył.

— A więc nic?

— Nic!

— Nic! ... cicho, jak westchnienie, powtórzyli wszyscy.

I znowu w kącie zastukała siekiera, chory legł napowrót na ławie, a kobiety zostały przed kominem i, grzejąc ręce, przypatrywały się, jak płonie rzucony na ogień gałgan.

Tunguz, otrzepawszy się z kurzu, postawiwszy stół i stołek na swojem miejscu, zbliżył się także do ognia, rozepchnął siedzące kobiety łokciami i stanął na przedzie. W niepewnych, krwawych błyskach, to gasnących wśród smrodliwego dymu, to jasno błyskających płomieni, te trzy wyżółkłe, zgarbione i strasznie chude postacie zdawały się nie żywymi ludźmi, lecz raczej zbiegłemi z sąsiedniego boru mumiami. Podobne do nich z kształtu i odzienia, zastygły obok siebie bez ruchu, wyciągnąwszy do ognia krogulcze, rozczapierzone[1]), wyschłe palce, by łacniej łowić ciepło dla stygnącego ciała, a jednocześnie by zasłonić od zbytniej spiekoty zmartwiałe twarze. Oczy zmrużyli, ale natomiast rozwarli szeroko cienkie, spękane wargi, prawie zupełnie krwi i mięsa pozbawione, a rząd błyszczący dużych, mocnych zębów wychylił się nagle z tego okropnego kłębuszka drobnych, wężykowatych zmarszczek, pokrywających nizkie ich łby i zapadłe policzki. Od czasu do czasu odgarniali z czoła kosmyki włosów

1) rozczapierzyć »ausbreiten, ausstrecken«.

czarnych i skołtunionych, a wówczas z szerokich rękawów wysuwały się cienkie piszczele rąk, obciągniętych skórą workowatą, zupełnie mięśni pozbawioną. Gdy otwierali powieki, wzrok ich błędny, dziki, bolesny, potęgował grozę widoku. Jaka moc trzymała życie w tych kościotrupach, trudno było odgadnąć; tutejsi mieszkańcy często ruszają się, pracują i myślą w takich warunkach, jakich bez przerażenia wyobrazić sobie nie może Europejczyk — — —

Mickiewicz:

Farys.

Kasyda[1]) na cześć Tadż-Ul-Fechra[2]) ułożona.

Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi
Znowu po modrym zwija się krysztale,
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łabędzią buja ponad fale:
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca,
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.
Już płynie w suchem morzu koń mój, i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina.
Coraz chyżej, coraz chyżej,
Już po wierzchu żwir zamiata[3]);
Coraz wyżej, coraz wyżej,
Już nad kłąb kurzu wylata.

1) Die Kassîde, eine ursprünglich arabische Gedichtform (Zweckgedicht), meist zum Preise einer Person. 2) Unter diesem Namen war Wacław Rzewuski im Orient bekannt (geb. 1765, gest. wohl 1831, lebte lange im Orient, hernach nach Beduinenart in der Heimat). 3) zamiatać »(Erde) aufwerfen, in die Höhe schleudern, aufrühren«.

Czarny mój rumak jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jego jak jutrzeńka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska[1]).
Pędź latawcze białonogi,
Góry z drogi, lasy z drogi!
Daremnie palma zielona
Z cieniem i owocem czeka:
Ja się wydzieram z jej łona;
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy,
I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha.
Owdzie granic pustyni pilnujące głazy
Dziką na Beduina poglądają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:
»O szalony! gdzie on goni!
Tam, od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni
Ni palma zielonowłosa,
Ni białe łono namiotów.
Tam jeden namiot — niebiosa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują«.
Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy.
Spójrzałem, aż dumne głazy
Zostały zdala odemnie;
Uciekają rzędem długim,
Kryją się jeden za drugim.

1) Nach Mickiewicz sind diese vier Verse die Übersetzung eines arabischen Vierverses.

Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierzył,
Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem;
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył,
Trzykroć czarnym obwinął głowę moją wieńcem.
»Czuję, krakał, zapach trupi,
Jeździec głupi, rumak głupi!
Jeździec w piaskach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi:
Jeźdźcze, koniu, pusta praca,
Kto tu zaszedł, nie powraca.
Po tych drogach wiatr się błąka,
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest ta łąka,
Ona tylko pasie gady.
Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują«.
Kracząc, lśniącymi szpony w oczy mi urągał,
I spójrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko:
Któż się uląkł? — Sęp uląkł, i uciekł wysoko!
Kiedym go chciał ukarać i majdan[1]) naciągał,
I gdym sępa oczyma po za sobą tropił:
Już on wisiał w powietrzu, jako plamka szara,
Wielkości wróbla, — motyla, — komara,
Potem się całkiem w błękicie roztopił.
Pędź latawcze białonogi!
Skały z drogi! sępy z drogi!
Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca,
Gonił mię białem skrzydłem po błękitnym sklepie;
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim ja byłem na stepie!
Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbę z wiatrem świsnął:

1) majdan »die Bogensehne«.

»O szalony! Gdzie on goni!
Tam pragnienie piersi stopi;
Obłok deszczem nie odkropi
Osypanej kurzem skroni;
Strumień na błoniu jałowem
Nie ozwie się srebrnem słowem;
Rosa, nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny w lot rozkradnie«.
Daremnie grozi! Pędzę i podwajam razy;
Obłok strudzony zaczął po niebie się słaniać,
Coraz niżej głowę skłaniać,
Potem oparł się na głazy.
A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił:
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.
Widziałem z twarzy, co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec jak trup sczerniał i w górach się schował!...
Pędź latawcze białonogi,
Stepy z drogi, chmury z drogi!
Teraz oczy kręgiem słońca
Okręciłem koło siebie:
I na ziemi i na niebie
Już nie było za mną gońca.
Tu natura snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy:
Tu żywioły drzemią w ciszy
Jak niepłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka,
Widząc pierwszą twarz człowieka.
Przebóg! ja tu nie pierwszy! Śród piaszczystej kępy
Oszańcowane świecą się zastępy.
Czy błądzą, czy z zasadzki czatują na łupy?

Jeźdzce w bieli i konie straszliwej białości!
Przybiegam, — stoją; wołam, — milczą ... To są trupy! ...
Starożytna karawana,
Wiatrem z piasku wygrzebana! ...
Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdzców kości;
Przez jamy, gdzie były oczy,
Przez odarte z ciała szczęki,
Piasek strumieniem się toczy
I złowrogie szemrze jęki:
»Beduinie opętany!
Gdzie lecisz? Tam huragany!«
Ja pędzę, ja nie znam trwogi.
Pędź latawcze białonogi,
Trupy, huragany[1]) z drogi!
Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię zdaleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu tak do siebie szumiał:
»Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?«
Ryknął, i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Wiedząc, żem był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości ląd nogą trącił,
Całą Arabiją zmącił,
I jak gryf ptaka porwał mię w swe szpony. —
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bił o ziemię,
Nasypywał żwiru brzemię.

1) huragan »Orkan« (russ. uragán: das Wort stammt wie span. huracán aus dem karaibischen uragan).

Ja zrywam się, walczę śmiało,
Targam jego członków kłęby,
Ćwiertuję piaszczyste ciało,
Gryzę go wściekłymi zęby. —
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:
Nie wydarł się! Wpół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął,
I legł u nóg mych długim jak wał miejski trupem!
Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi
Wszystkie poglądały ku mnie:
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całemi!
Oddycham pełno! szeroko!
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwo mi na oddech stanie.
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wytężyło się me oko
Tak daleko, tak szeroko;
Że więcej świata zasięga,
Niż jest w kole widnokręga.
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios szczytu,
Jak pszczoła topiąc żądło i serce z niem grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!

Słowacki:

Paryż [1]).

Patrz! przy zachodzie, jak z Sekwany łona
Powstają gmachy połamanym składem,
Jak jedne drugim wchodzą na ramiona,
Gdzieniegdzie ulic przeświecone śladem.
Gmachy skręconym wydają się gadem,
Zębatą dachów łuską się najeża.
A tam — czy żądło oślinione jadem?
Czy słońca promień? czy spisa rycerza?
Wysoko — strzela blaskiem ozłocona wieża.

Nowa Sodomo! pośród twych kamieni
Mnoży się zbrodnia bezwstydna widomie,
I kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni,
Lecz nie deszcz Boży, nie zamknięty w gromie,
Sto dział go pośle ... A na każdym domie
Kula wyryje straszny wyrok Boga,
Kula te mury przepali, przełomie,
I wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,
I większa jeszcze rozpacz — bo to kula wroga ...

I już nad miastem wisi ta dział chmura,
Dla tego ludu zasępione tłumy,
Dla tego ciemność ulic tak ponura,
Przeczuciem nieszczęść zbłąkane rozumy;
Bez echa kona słowo próżnej dumy,
O wrogach ciągle toczą się rozmowy ...
A straż ich przednia, już północne dżumy
Obrońców ludu pozwiewały [2]) głowy,
I po ulicach ciągły brzmi dzwon pogrzebowy.

---

1) Erschienen im 3. Band der »Poezye«, Paris 1833.
2) pozwiewać »nach und nach herunterblasen«.

Czy wrócą czasy tych świętych tajemnic,
Kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli,
Jedni pod katem, drudzy w głębi ciemnic,
Inni ponurzy, bladzi, krwią ociekli,
Co kiedy śmieli pomyśleć — wyrzekli.
Lud cały kona katy i obrońce,
Dnia im niestało, aby się wysiekli;
I przeczuwając krwawej zorzy końce,
Jak Jozue wołali[1]): dnia trzeba — stój słońce!

I nie stanęło — pomarli — przedwcześnie,
Lecz zostawili pamiątki po sobie,
Kraj po rozlewie krwi tonący we śnie,
I lud, nie po nich[2]), ubrany w żałobie,
Krwi trojcę[3]) w jednej wcieloną osobie;
Ten jak Rodyjski posąg, świecznik trzyma,
I jedną nogę wsparł na martwych grobie,
Drugą na zamku królów ... Gdzie oczyma
Sięgnął — tam wnet i ręką dostawał olbrzyma.

A kiedy posąg walił się z podstawy,
Tysiące ludu sławą się dzieliło,
Każdy się okrył łachmanem tej sławy,
Każdemu było dosyć — nadto było ...
Marzą o dawnej sławie nad mogiłą,
I pod kolumną spiżu[4]) wszyscy posną;
Choć cięcie kata głowę z niej strąciło,
Choć na niej może jak na gruzach, z wiosną
Chwasty i z liliami Burbonów porosną.

Tu dzisiaj polak błąka się wygnany,
W nędzy — i brat już nie pomaga bratu.

1) Josua 10, 12. 2) po nich »um ihretwillen«.
3) Robespierre, Saint-Juste und Couton. 4) Die zu Ehren der Siege von 1805 errichtete Vendômesäule.

Wierzby płaczące na brzegach Sekwany
Smutne są dla nas jak wierzby Eufratu.
I całej nędzy nie wyjawię światu ...
Twarze z marmuru — serca marmurowe,
Drzewo nadziei bez liścia i kwiatu
Schnie gdy wygnaniec złożył pod nim głowę,
Jak nad prorokiem Judy schło drzewo figowe.

. . . . . .

Z dala od miasta szukajmy napisów
Gdzie wielki cmentarz zalega na górze[1]).
O! jak tu smutno, kędy wśród cyprysów
Pobladłe w cieniu chowają się róże.
A pod stopami — dalej — miasto w chmurze,
Topi się we mgłach gasnących opalu ...
A dla żałobnych rodzin przy tym murze,
Przedają wianki z płótna lub z perkalu,
Aby dłużej świadczyły o kupionym żalu.

Patrz znów w mgłę miejską — oto wież ostatki,
Gotyckim kunsztem ukształcona ściana[2]).
Rzekłbyś — że zmarła matka twojej matki,
W czarne brabanckie korónki ubrana,
Z chmur się wychyla jak duch Ossyana ...
Ludzi nie dojrzysz ... Lecz nad mgłami fali,
Stoją posągi (gdzie płynie Sekwana)[3])
Jakby się w Styxu łodzi zatrzymali,
I przed piekła bramami we mgłach stoją biali ...

Tam gmachy Luvru gdzie tron Baltazara,
A na nim siedział wyrobnik umarły[4]) ...

---

1) Der Kirchhof Père la Chaise. 2) Die Kathedrale Notre Dame. 3) Pont de la Concorde. 4) Nach der Einnahme des Louvre legte das Volk einen Leichnam auf den Thron.

Przez dnie lipcowe panowała mara,
U nóg jej ludzie snuli się jak karły;
Ponad nią cienie śmierci rozpostarły
Wielkość olbrzymią — był to król narodu.
I aksamity krew mu z czoła starły,
Lecz jego dzieci umierały z głodu,
Zaczął dynastią trupów, był ostatnim z rodu.

Słowacki:

Grób Agamemnona[1]) (Anfang).

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtóruje myśli posępnej i ciemnej;
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona,
I siedzę cichy w kopule podziemnej
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słychać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos — ta bieli płótno
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędziwo;
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
Tu wiatr obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowem pochowane słońcem,

1) Eine Frucht der griechischen Reise Słowacki's i. J. 1836.

Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. — Strasznym jest rapsodu końcem
Owe sykanie co się w grobach słyszy —
Jest objawieniem, hymnem, pieśnią ciszy.

O! cichy jestem jak wy! o Atrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą.
Ani mnie teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą.
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy.

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni,
Posadziły go wróble lub gołębie,
I listkami się czarnymi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszcza;

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara,
I wbiegło złote, i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten co się wdziera
Blask, była struna to z harfy Homera;

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułowić i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów i milczącą
Garstką popiołów: — ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
To los mój senne królestwa posiadać,

Nieme miec harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych ... I tak pełny wstrętu:
Na koń! Chcę słońca, wichru i tętentu. — —

Konopnicka:

Faun śpiący[1]. (Aus: Italia).

Postać śpiącego Fauna. Ta mi się została
W oku ... Postać najcichsza, najśmiertelniej biała
I najśmiertelniej smutna, jaką kiedy dłuto
Zrobiło wizyą smutku, w marmurze wykutą.

Tyle wód, lądów tyle dzieli mnie od niego,
A przecież oczy moje co dnia w ciemność biegą
Szukać tego oblicza nieśmiertelnej bieli ...
Tyle wód, lądów tyle mnie od niego dzieli!

I zdaje mi się jeszcze, że tam przed nim stoję,
Że widzę go, tych ramion odrzuconych dwoje
I tę głowę bolesną, zwróconą w błękity,
Głowę oskarżającą, choć wzrok ma nakryty[2]).

Nad starą rzymską willą noc cicha się czyni.
Zagasł świat dla tych oczu spalonych pustyni,
Zagasł żar, co te żyły naprężał i tętna ...
Nad starą rzymską willą noc czyni się smętna.

Faun zasnął. Z nim zasnęły palące ościenie
Żądzy, śmiech i szał zasnął, a duch nieskończenie
Pokrzywdzon w ciele tego półboga, półzwierza,
Nagle odklęty, w lazur skrzydłami uderza.

Jaki ból zbruździł czoło! Jaka rąk omdlałość!

1) Nicht in der Villa Barberini in Rom, wie die Konopnicka bemerkt. Das Original dieses wundervollen Satyrs befindet sich seit 1820 in München. 2) nakryty hier »geschlossen«.

Księżyc prześwietlił złotem marmurów tych białość,
Podniosła się oddechem pierś cicha i senna ...
Jaki ból! Jaka nad nim gwiaździstość bezdenna!

Faun zasnął. Już rozkoszą zmęczył się i strudził.
Wtem, w zwierzu nasyconym — anioł się obudził,
I przypomniał ojczyznę, i załamał ręce
Anioł w szale poczęty, a zrodzony w męce.

Ja wiem, jak się ta krzywda nazywa i skarga:
To dwoistość istnienia, co świat cały targa,
To rozłamanie ducha i myśli i woli!
Ja wiem, jak się ta krzywda nazywa, jak boli.

I na wieki tak będzie, zostanie na wieki:
Pęd ducha lecącego w świat lepszy, daleki,
I ciężar ziemi, skrzydła co łamie w tym pędzie ...
Na wieki tak zostanie. Na wieki tak będzie.

Konopnicka:

Luini.

W »Gran Monastero«[1]), pomiędzy filary,
Jest wirydarzyk[2]), jak był w Nazarecie.
Tam święta Pani piastuje swe dziecię.
Przesłodkie lico[3]) ów mistrz dał jej stary
I zmienił w ołtarz mur nagi i szary,
Boskiego piękna posiawszy nań kwiecie.

W »Gran Monastero«, gdy słońce zaświeci
I blaskiem ciśnie z wysoka po murze,
Wnet mur zakwita w lilie i róże,
I taką wiosną fresk stary się kwieci,

1) Die Fresken Bernardino Luinis (gest. 1533) in der Chiesa del Monastero Maggiore in Mailand. 2) wirydarzyk »Garten« (italien. viridario). 3) lico = lice.

Że od Vercelli złudzony ptak leci,
I w pióra bije, i dzwoni w lazurze.

W »Gran Monastero«, gdy powiew uderzy
Przez wązkie szyby, przez okna gdzieś w górze,
Dech słodki dają lilie i róże,
Z starego fresku woń cudna się szerzy,
J wieje zapach majowy i świeży,
Jak gdybyś kwiecia postawił tam kruże.

W »Gran Monastero«, gdy smętnych dni słoty
Wleczesz, pątniku, po życia pustyni,
Idź przed ten filar, gdzie stary Luini
Powiązał kratę przedziwnej roboty
I sypie przez nią deszcz kwietny i złoty,
Aż się znów wiosna w twej piersi uczyni!

Przerwa-Tetmajer:

Dzwony św. Piotra w Rzymie.

Za każdym grzmotem dzwonów zda się, że wylata
z kopuły huf aniołów w cztery strony świata,
a każdy, z wichrem włosów, w swej ręce olbrzyma
miecz płomienny, w źrenicach sto błyskawic trzyma,
i lecą ... Ziemia gnie się ... Nad miasty i sioły
zawisają spiżową chmurą te anioły
i zda się, swoją straszną i ogromną mocą
słońce strącą gdzieś w przepaść i niebo zdruzgocą!

Weyssenhoff:

Na wielkich wodach (Aus: Soból i Panna. 1912)[1]).

Powrócił lipiec tak świeży w zieleni i tak bogaty

1) Gekürzt.

w zboża, owoce i jagody, w powiecie Jezioroskim[1]), że ziemia zdawała się kwitnąć i rodzić po raz pierwszy. Aby zaś ją obejrzeć, najlepiej puścić się szeregiem jezior, powiązanych przez rzekę Świętą, cicho pędzić dubicę[2]) po trzcinach i ajerach nadbrzeżnych, albo i wypłynąć na środek, trafnie nastawiwszy dziób łódki na kierunek prądu, który ją porywa wtedy i niesie wartko, a nieznacznie, bez pomocy wiosła. Tylko pagórki ubarwione zbożami, albo zagajenie[3]) nad wodą, a bardziej jeszcze bucz[4]) zasadzony na brzegu i wyzierający nad powierzchnię, mijając śpiesznie, dają pojęcie o szybkości prądu, niosącego łódź na swym szklisto połyskującym grzbiecie.

Tę wspaniałą drogę wybrał sobie Michał Rajecki w celu polowania na kaczki — podloty[5]), a także i dla przejrzenia nowego rozkwitu rodzinnego kraju. Wsiadł do łódki wczesnym rankiem daleko od domu, w górze rzeki[6]), aby wieczorem powrócić do Jużynt, przeglądających się w jeziorze Roszy[7]). Dubicę miał mocną, świeżą jeszcze, więc pachnącą żywicą sosny, której była odłamem; przy dziobie siedział suchy i zręczny rybak Stasiulanis i robił jednem wiosłem, przekładając je to na prawo, to na lewo; Michał, siedząc na skrajnym tyle łodzi, przyciosanym na ławkę, przeważał cały statek swym ciężarem tak, że dziób szedł wzniesiony ponad wodą, kręcąc się na boki, jakby wietrzył i rozglądał się

1) Dieser anmutige »Jägerzyklus« spielt im seenreichen Kreise Nowo-Alexandrowsk, Guvern. Kowno. 2) dubica (von litauisch dubùs »hohl«) »ein Boot aus einem ausgehöhlten Baumstamme«. 3) zagajenie »ein mit Bäumen dicht bewachsener Ort«. 4) bucz »Art Reuse zum Fangen von Fischen und Krebsen«. 5) kaczki — podloty »junge Wildenten«. 6) góra rzeki »Oberlauf des Flusses«. 7) Der »dwór« Jużynty liegt abseits vom Dorfe am Roszasee.

za kaczkami. Ale rzeczywiście wietrzył czarny pudel, Kuchta, majster do kaczek. Stojąc zadniemi łapami w głębi łodzi, a przedniemi na pławce[1]) drżał całem ciałem sprężystem, obmokłem w wielu już dzisiejszych kąpielach; mądry swój łeb czarnego lewka trzymał sztywnie na wyprężonej szyi, zwracając go czasem nerwowo na boki; oczki to mu błyskały namiętnie z pod nawisłych[2]) kudłów, to przymykały się z delikatną dystynkcyą przed oślepiającym na wodzie pożarem słonecznym.

Świeta wypływała szablistym łukiem z pośród pagórków, porośniętych wysokim lasem, rozlewając się szerzej na niższem miejscu, tworząc zatoki ciemniejsze pod wysokim cieniem, srebrne przy brzegach łąkowych. Od brzegów leśnych niedawno odbił Michał. Stamtąd teraz zagrzmiał strzał i rozhukał się po pagórkach w przeciągłą kanonadę.

— Pewno ksiądz Stulgiński nas dogania — odezwał się Michał po litewsku do rybaka, który nie mówił innym językiem.

— A jau anas[3]) — odrzekł z uśmiechem Stasiulanis, celując w dal oczyma patrzącemi jastrzębio.

Ale jeszcze na widomym pasie wody w górę rzeki nie było widać nic, oprócz gładkiego srebra z błękitniejącym pośrodku dreszczem, który znaczył kierunek głównego prądu. Myśliwy, który strzelił, albo się zaszył w szuwary nadbrzeżne i schował się w nie cały z dubicą, — albo strzał padł wyżej na rzece, za zakrętem, pośród lasu. To było prawdopodobniejsze ze względu na rozgłośne echo. Więc Michał kazał Stasiulanisowi skierować dubicę do brzegu, na senną wodę, i czekał, wypatrując

1) Zur Erhaltung des Gleichgewichtes der »dubica« befinden sich an den Seiten Bretter (pławki). 2) nawisły »herabhängend«. 3) A już on.

towarzysza, z którym się był umówił na dzisiaj, księdza Stulgińskiego. Był to proboszcz z Antoleptów[1]), zawołany myśliwy i kompan setny.

Niezadługo wysunęła się od załamanego[2]) brzegu na środek rzeki dubica maleńka, jak polano, a na niem z jednego końca gruba bułka szara — to niechybnie proboszcz w ubraniu myśliwskiem — na drugiem nikła plamka czarna, nieprzewidziana. — — —

Przybywająca łódka, wpadłszy w prąd, szybko zbliżała się. Ksiądz Stulgiński spostrzegł już Rajeckiego i na powitanie wywijał młyńca[3]) strzelbą ponad głową. Księżyk[4]) siedział nieczynny i skulony w swej czarnej sutannie; pod słomkowym kapeluszem coraz widoczniej rumieniła się młodziutka twarz zamyślonego dziecka. Wiosło i długą rusznicę trzymał bezradnie na kolanach.

Przybiły nareszcie dubice jedna do drugiej, aż stuknęły się pławkami. Kuchta skomlił radośnie z pomnożenia myśliwskiej kompanii, a znajomi już zdaleka zaczęli wesoło opowiadać swe przygody.

— Dobrydzień, Misiutek[5])! Swejkas[6]), Stasiulanis! — gadał płynnie ksiądz Stulgiński — ot wynalazłem sobie kompana do polowania, że lepiejby kłodę do nogi przywiązał! Ksiądz Lelejko, do usług — ale do parafialnych, nie do myśliwskich. — Wywiozłem to, żeby się od książek oderwało, bo oczy ma już od nich jak królik, chciałem przewietrzyć i spławić, a to ani dubicy pędzić nie umie, ani do kacząt na wodzie strzelać nie chce. Czyż to twoi bliźni, księże wikary, czy co?

---

1) Antolepty, nicht weit von Jużynty. 2) załamany »gebogen, gekrümmt«. 3) wywijać młyńca strzelbą »das Gewehr im Kreise herumdrehen«. 4) księżyk z Antoleptów, der Begleiter des Probstes. 5) Koseform zu Michał. 6) litauisch swejkas »gesund; heil (Begrüßungsformel)«.

Młody ksiądz pod gradem tej dobrodusznej krytyki milczał ze spuszczonemi powiekami i nawet giestem nie zasłonił się od pocisków: siedział nieruchomy, uśmiechnięty niewinnie, tylko dziewicze, bez śladu włosów policzki nasiąkały krwawym rumieńcem. — — —

Rajeckiego ujęła dziecięca słodycz księdza Lelejki, więc szczerze nalegał:

— Jeżeli ksiądz wikary łaskaw, bardzo proszę do mnie. Z pędzeniem dubicy ja sam sobie poradzę — —

Dubica proboszcza, sprawnie kierowana przez Stasiulanisa odpłynęła szybko do dalekiego lewego brzegu; rzeka w tem miejscu poczynała rozlewać się w jezioro.

Rajecki zaś i Lelejko posuwali swe czółno przez trzciny prawego brzegu, rozstępujące się poklonami, z suchym szeptem. Okazało się, że księżyk, skoro się wyzwolił z pod tyranii proboszcza, robił wiosłem niezgorzej; w każdym razie dubica płynęła naprzód, a że trochę kręciła nosem, tem lepiej wycierała szuwary, przypuszczalne kryjówki kaczek. Kuchta, ciągle w paradnej postawie na warcie, łowił wiatr w czarne nozdrza, namyślał się nad jego treścią, zerkał szatańsko, czasem drgnął i wyrywał się do skoku. I znowu zmiarkowawszy, że dobrze ułożonemu psu nie wypada kompromitować się, skacząc do wody po próżnicy, cofał głowę między łopatki, ruchem dostojnym. — — Aż nagle wychylił się gwałtownie, zebrał się potem w sobie, i odsadziwszy się zadem potężnie od łodzi, chlusnął do wody.

Natychmiast zagotowało się w trzcinach od trwożnych kwakań i chlupotów[1]). Nad miecze ajeru i szyszkowate czuby trzciny ciężko podniosła się kaczka, matka stada, rozpaczliwem kwakaniem skarżąc się na rozbój.

1) chlupot »das Patschen«.

Strzał Michała strącił ją z powietrza i uspokoił na wieki. Tymczasem zgiełk nie ustawał, gdyż Kuchta uganiał się wpław za stadem kacząt klapaczy[1]), które uciekały szeregiem, uderzając wodę nie dosyć jeszcze upierzonemi lotkami, niby wiosełkami z czarnego i żółtego pierza. Kwakanie ich było jeszcze pomieszane z piskliwą skargą. Za spłoszoną czeredą czarna głowa pudla goniła okrutnie, to parskając, jak foka, to dając głos, jak pies gończy. Chociaż jednak głupie kaczęta zapomniały w popłochu o nurkowaniu, pies nie doganiał ich wpław, pędzał tylko i straszył niemiłosiernie. Ale zupełnie odsłaniały się i wystawiały na strzał. Jednak Michał ociągał się — zbyt marna i łatwa była zdobycz — — Spojrzał na młodego księdza, który wreszcie przemówił z ożywieniem:

— Proszę nie strzelać! to jeszcze niewinne służki Boże ...

I Michał był tego zdania, choć miał serce zatwardziałe dla zwierzyny. Krzyknął na psa:

— Kuchta tu! Kuchta pfuj! mały ptak!

Pudel odwrócił nieco głowę, spojrzał na pana z niedowierzaniem i z podziwem, że kaczkę nazywa małym ptakiem, jednak płynął jeszcze za stadem, tylko z mniejszym zapałem, bez głosu, zapewne z krytycznym namysłem.

— Jakiejże odemnie chcą służby? — — I wyżeł lepiejby nie zwietrzył i gończy lepiejby nie gonił ... Ludzka niekonsekwencya!

Ale Michał krzyknął znowu, wskazując zabitą starą kaczkę, leżącą na wodzie:

1) klapacz »junge befiederte Ente, die noch nicht gut zu fliegen versteht«.

— Kuchta! daj tu! aport!

Pudel zwrócił myślący łeb we wskazanym kierunku.

— Aha ... to rozumiem.

I puścił się prosto na głębszą, niezarośniętą wodę, ku zabitej kaczce. Widać było w przezroczu[1]), jak pracowicie wiosłował cienkiemi łapkami, aby posuwać nie do pływania stworzone, całkowicie, prócz głowy, tonące swe ciało. Chwycił nareszcie kaczkę w pysk, zawrócił mozolnie i zbliżył się do czółna. Michał wychylił się na przyjęcie Kuchty, ujął go oburącz za przednie łapy i obmokłego, a wycieńczonego w postać czarnej małpy wciągnął razem z kaczką na dubicę. Obruszył się Kuchta potężnym dreszczem, opryskał myśliwych, jak z obfitego kropidła, po ubraniu i po twarzach.

— Przestaniesz ty? ... smoluchu! ...

— Co znowu?! ... — wyrażał pies zgorszonemi oczyma.

Ale ugłaskano go, pochwalono i harmonia nastała zupełna. Kuchta wartował znowu, wspięty na brzegu łodzi, drżąc i dymiąc z obmokłego kożucha pod skwarem południowym.

* * *

Sennie rozlewała się godzina po wodzie coraz szerszej, coraz bardziej lustrzanej[2]) i oślepiającej gorącym blaskiem. Tylko woń jeziora, wstając słodkim oparem, chłodziła spieczone[3]) twarze myśliwych. Spały szuwary i wszelkie w nich głosy zamarły. Pospały się zapewne i kaczki; wylazłszy kulawo na brzeg, zaszyły się w gęstszą trawę gruntową, zapominając o żerze, o alarmie zasłyszanych strzałów, o świecie. I kaczka lubi zapaść w błogą

1) przezrocze »durchsichtiges Wasser«. 2) lustrzany »durchsichtig«. 3) spieczony »erhitzt«.

nieświadomość drzemki; czy zaś w tym stanie o czemś marzy? — nie dociekli jeszcze przyrodnicy, ani nawet bliżsi dzikiej przyrody — myśliwi.

Na gładkiej wodzie roiło się tymczasem maleńkie życie muszek — tanecznic, a do zanurzonych roślin przyfruwały czasem wystrojone panny[1]), długo coś szeptały sztywnym trzcinom i jędrnym kielichom lilii wodnych, w omdlałym pocałunku.

Plemiona podwodne, zagospodarowane[2]) w swych topielach wyśmienicie na lato, nurtowały sobie po chłodniejszych głębiach; jednak czasem jaka ryba, ciekawa, jak smakuje gorące powietrze, chlipnęła go sobie nad powierzchnią wody, a kompanie ruchliwych stynek podpływały też do wyższego nurtu, przetykając go dreszczami srebrnej łuski. Na miejscu dna przy brzegu, płytkiem i nieporośniętem, widać było wielkiego raka, który wystawiał stary grzbiet zapleśniały na słońce i z lubości rozwierał powoli czarne swe cęgi.

Od godziny nie spotkano kaczek, ani wogóle czegoś godnego strzału. Znudzony Kuchta położył się na dnie czółna, ludzie zaś poczuli także omdlenie od upału, zanik łowieckiej ochoty, a że polowali już kilka godzin, więc i głód zaczął się objawiać.

— Cóż, księże wikary — rzekł Michał — trzeba będzie się posilić.

— Można — odrzekł Lelejko.

— Ale w tym skwarze nieprzyjemnie — przetnijmy jezioro aż do tamtej wyspy zadrzewionej[3]); tam i cień znajdziemy i bardzo prawdopodobnie kaczki. Niech tylko ksiądz łódkę skieruje do prądu, a zaniesie nas prosto do wyspy — już ja to znam.

1) panna »Libelle«. 2) zagospodarowany »eingerichtet«. 3) zadrzewiony »mit Bäumen bewachsen«.

Lelejko wykonał, milcząc, zlecenie. Dubica, doprowadzona do łożyska Świętej, przecinającej jezioro Roszę, popłynęła z prądem. Bez wiatru na roztoczy porywającej, jechało się jak we śnie. Zaledwie odczuwalne głaskanie powietrza po twarzy sprawiało wrażenie, że raczej spotęgowany zapach wód i łąk idzie naprzeciw łodzi; a jednak źdźbła piany mijały za łodzią szybko na głębokiej, nagiej toni.

Michał położył strzelbę wpoprzek dubicy, Lelejko tak samo wiosło; Kuchta stał cicho w kierunku jazdy, rozmyślając zapewne, że gdyby tutaj skoczyć mu przyszło do wody, nie dopłynąłby chyba do rozstępujących sie na wiorstę wokoło brzegów. Nie było co czynić na cudownej wodnej przestrzeni, tylko patrzeć, oddychać i myśleć.

— Prawdziwa satysfakcya tak płynąć! — odezwał się niespodzianie Lelejko.

— Rzeczywiście — podchwycił Rajecki. — A ksiądz nie często jeździł po jeziorach?

— Życie moje płynęło inaczej ... — — —

Strzał na lewym brzegu przypomniał rozmawiającym, że ksiądz Stulgiński, pomimo tuszy i upału, nie próżnuje. Spojrzeli w tę stronę, mały wybuch błękitnego dymu oznaczył miejsce nowego strzału; po długiej dopiero chwili doleciał huk i odbił się o wysokie drzewa na wyspie.

— Będzie dobra wiorsta — rzekł Michał — i jeżeli tam znalazł stado podlotów, jak mi się zdaje, nie przyciągniemy go na wspólne śniadanie. A my przybijmy do wyspy i zjedzmy coś, bo już głód rzeczywiście dokucza.

Na dwumorgowej może przestrzeni wznosił się pośrodku jeziora wspaniały bukiet czarnej olszyny, podszyty gąszczem krzewów i jagód, opasany po brzegach

wiankiem trzcin dziewiczych, nietykanych prawie przez ludzi. Rybakom nie chciało się zazwyczaj płynąć wiorsty od brzegów do wyspy. Tylko rzadkim myśliwym i miłośnikom przejażdżek wodnych znana była wyspa środkowa, dziwny i śliczny pomysł przyrody.

Rajecki i Lelejko z niemałym trudem przebijali się przez szeroki pas okolnych szuwarów, chwytając w garście snopy zielonego sitowia i przyciągając tym sposobem dubicę do twardego brzegu. Ginęli całkowicie w lesie trzcin; poczuli się przez kilka minut fantastycznie i rozkosznie małymi w gąszczu przenoszącym ich wzrost i horyzont. Gąszcz drzew tego wrażenia nie daje, tylko przepaście łodyg wiotkich, łatwych do rozsunięcia lub złamania, ale nieprzebranych w swej mnogości.

— Prawdziwy step na wodzie! — mówił Michał — a pachnie, że aż w mózgu wierci.

— Kiedy u nás żyto się uda — zauważył Lelejko — wejść we środek — tak samo świat z oczu ginie ... i przyjemnie.

— Lubi ksiądz między żytem chodzić? Ja pasyami lubię, zwłaszcza gdy kwitnie.

— Chodziłem i ja, ale przestałem; nadto świeckie myśli przychodziły do głowy.

— Prawda przychodzą! — zaśmiał się Michał zmysłowo, bo przypomniał, że woń kwitnącego żyta budziła w nim nieodmiennie wizye kobiece, przez jakoweś pokrewieństwo zapachów. I ten las trzcinowy pod upałem odurzał podobnemi wizyami.

Przebili się wreszcie do twardego brzegu, wysiedli z dubicy i pod ścisłym cieniem wielkich drzew rozciągnęli się z lubością na murawie.

— Ile tu jagód! — wołał coraz swobodniej Lelejko.

— Ale pijanic[1]) ksiądz nie jedz; dur mają w sobie, a nawet truciznę.

— Kiedyż to czernice! o — we środku czerwone, nie białe.

— Prawda ...

— A tutaj maliny! same te najwonniejsze, leśne.

Skąd się tu wzięły nasiona dobrych jagód? Czy wiatr był swatem między odległemi wzgórzami Jużynckiego parku, a wyspą? czy całą wyspę oderwały jakieś przedwiekowe zalewy od większego lądu? — — Nie zastanawiali się nad tem młodzi, zbierali garściami jagody i jedli, a świeże były i gasiły wybornie pragnienie — —

Upał, nasycony mocnemi woniami, był pełen faunicznej namowy; coś dziko i namiętnie dyszało w pobliżu, niby lubieżne, przyśpieszone oddechy; w powietrzu były elektryczne dreszcze, w ciszy — kobiece wołania. I gdyby w tem pustkowiu zobaczył nagle Michał błyszczące pożądaniem oczy dziewczyny, gdyby nawet świeżość warg rytmicznych poczuł na ustach, nie zdziwiłby się. »Ona« była w pobliżu ...

Odezwał sie nagle do Lelejki:

— Czy ksiądz przy swych zajęciach ... i umartwieniach nie żałuje czasem ... życia?

— Pan nazywasz życiem rozkosz fizyczną?

— Wysubtelnioną przez intelekt ... przez krytykę intelektualną — nadmienił Rajecki.

— Ot właśnie. Ale jak wysubtelnioną? — U mnie jest co do tego osobna teorya.

— No? jaka?

— Teorya nie moja, podobno indyjska; ja ją poznałem z jednej książki i próbuję stosować do życia — — Tylko ona nie ze wszystkiem przyzwoita.

1) pijanica »Sumpfheidelbeere«.

— Czegóż mamy się wstydzić między sobą, mężczyznami jednych lat i na pustej wyspie. Kuchta nawet nas nie zrozumie — — —

— Tema, widzi pan, taka, — mówił młody ksiądz, — że traktowana żartobliwie, prowadzi tylko do grzechu słowem; a seryoznie biorąc, rzecz może i święta? ...

— Możemy mówić zupełnie poważnie.

— A kiedy tak ...

Przemocne skupienie i walka z nieśmiałością wybiły perły potu na białe czoło księdza. Po przerwie zaczął przez zęby, jakby się poddawał bolesnej operacyi:

— Kiedy mówiliśmy o rozkoszy fizycznej, znaczyło w języku filozoficznym: popęd płciowy.

— Zasadniczo — tak.

— Gdyby ja jego potępiał, byłoby nie mądrze. To siła przez Boga stworzona, mocna i dobra. Ale jej można rozmaicie używać ...

— ...??

— Mnie zdaje się, że ona u człowieka służy nietylko do stosunku mężczyzny z kobietą.

Michał, nad spodziewanie zajęty wywodami księżyka, zmienił swą pozycyę leżącą na siedzącą, i objąwszy oburącz kolana, słuchał pilnie.

— Popęd płciowy można ... jak to mówi się? — po rosyjsku: *odolet'* — —

— Opanować. Rozumiem: myśli ksiądz o abstynencyi, naprzykład w stanie kapłańskim.

— O tem i jeszcze nie ... — łamał się[1]) Lelejko z trudnością dosadnego wyrażenia. Można jego opanować, ale nie zmarnować. Ten popęd to jest wogóle siła twórcza, kosmiczna. Za jej pomocą jedni odkrywają

1) łamać się »sich abmühen, kämpfen«.

nowe prawa przyrody, inni piszą piękne książki, tworzą dzieła sztuki. Najgrubszy sposób użycia tej siły jest do rozmnażania rasy.

— To i ja spostrzegłem — rzekł Michał — że praca umysłowa zmniejsza zachcianki erotyczne, a na odwrót jest się mniej zdolny do pracy umysłowej po tęgiej hulance.

— Hulanka to już rozpusta — skrzywił się lekko ksiądz — ja z nią nie chcę liczyć się w mojej teoryi. Mnie chodzi o przerabianie energii zwierzęcej na duchową.

Rajecki poczuł, że Lelejko przewyższa go w ścisłości rozumowania; skupił się więc i słuchał uważniej. A ksiądz cedził powoli, z natężeniem myśli, z chłopskim uporem, swe wywody.

— Mnie zdaje się, że kiedy Pan Bóg stworzył taki instynkt w każdym człowieku, to nakazał go używać.

— Bezwarunkowo. Jest to instynkt przyrodzony, zatem i potrzebny i chwalebny.

— Ja też nie potępiam żadnego człowieka, który żeni się i rozmnaża. Ale jeżeli energia pochodząca z tego instynktu jest jedna do wielu czynów twórczych, może człowiek wybrać, do którego chce je użyć.

— To jest chce ksiądz powiedzieć, że można tę energię podzielić między prokreacyę i prace umysłowe? Nie mówię o abstynencyi katolickich księży, która jest umartwieniem.

— A ja właśnie chcę mówić o absolutnej czystości męzkiej. Dla mnie ona nie jest umartwieniem.

— To rzecz ... gustu i temperamentu.

— To może być i źródłem pięknego zadowolenia, kiedy czujesz, że zwierzęcą siłę płciową przerabiasz na wysoką, ludzką energię intelektualną. — I można ją

przerobić — zakończył ksiądz z niezłomnem przekonaniem.

Pomilczeli trochę, sprawdzając wstecz przebieg rozumowania. Michał zagadnął znowu:

— I ksiądz nigdy nie znałeś kobiety?

— Nigdy.

— Ale tęskno było czasami ... co? ciężko? ...

— Może i tęskno ... Tylko ja czułem od dzieciństwa, że mnie inna droga ... A od czasu, kiedy ja wiem, że mojej zwierzęcej siły użyć mogę na dzieło duchowe i na chwałę Bogu, już i nie ciężko.

— Poniekąd rozumiem. — — Jednak jakże ksiądz dochodzi do zastosowań praktycznych? jak przerabia? W tem sztuka!

— Pracuję ciągle mózgiem, czytam, a kiedy już nie, układam w głowie myśli do spisania w przyszłości. I uciekam od wszystkich okazyi podniecenia.

— Dlatego ksiądz nie wchodzi w kwitnące żyto — rozumiem. No, a jeżeli okazya zdarzy się wypadkowa, nie mówię do ... czynu, ale do podniety zmysłowej? ... przy jakiemś spotkaniu, widoku ... albo chociażby dzisiaj, tutaj, gdzie natura woła do fizycznej rozkoszy? Tu pachnie rozkoszą ...

— Czuję i ja — odpowiedział ksiądz, wznosząc oczy miłośnie do swoich wysokich wizyi — ale we mnie jest już taki upór ... wola uparta — — ja umiem już przerabiać. Z wrażeń zmysłowych rodzą się wyższe myśli. Ot i z pokus tej wyspy urodziła się piękna rozmowa.

Skoro tylko nazwali ją piękną, rozmowa się urwała. Michał spoglądał z niejakim podziwem na młodego chłopka w sutannie, który mu się wydał z pierwszego rzutu oka zaledwie godnym uwagi. A księżyk zapadł

znowu w swą rumianą pospolitość, siedział cicho ze spuszczonemi oczyma.

Wypadało jednak, ze stanowiska myśliwskiego, przerwać leniwy odpoczynek i przetrząść brzegi wyspy, na której, według legendy, lęgły się czaple, a już kaczki winny były obowiązkowo znajdować się w sitowiu. Michał postanowił obejść wyspę piechotą z powodu trudności pędzenia dubicy przez gruby pierścień z trzciny i ajeru. Kuchta wycierał gorliwie, myśliwi napatrzyli się dowoli ogromnej wybujałości sitowia, kryjówek obiecujących, dzikich jak zaświat, najedli się jeszcze jagód na lądzie, pili, w braku innej, słodką i gęstą wodę z jeziora, — ale kaczek nie zdybali. Kaczkom, prowadzącym w tej porze roku życie rodzinne, matkom zapobiegliwym o przeżywienie piskląt nie dość jeszcze lotnych, milsze były brzegi tłuste, bliskie kultury ludzkiej. Z tej kultury ciągnie się soki pożywne, z niej i śmierć czasem wypada. Taki już los kaczy podobny do człowieczego. Wyspę odwiedzą pod jesień, gdy już wszystkie lotne i szybkie nosić się będą chmurami dla ochoty i wprawy do zamorskich podróży.

Pierścień sitowia okazał się w jednem miejscu przerwanym; rąbek mułu i żwiru spełzał tutaj z lądu do jeziora, które, pomimo nadzwyczaj cichego dnia, przychodziło do brzegu płasko karbowaną falą; jej to lekkie i upalne westchnienia słyszeli młodzi podczas śniadania.

— Tutaj trzeba było przybić dubicę — rzekł Michał — nie znałem tej przystani.

— Ale tam piękniej było — zauważył Lelejko.

— Prawda i to.

Na żwirze sterczały dwa drobne kuliki[1]), jedyni

1) kulik »Brachvogel«.

pono dzisiaj lotni mieszkańcy międzywodnej głuszy. Kuchta rzucił się na nich z impetem, spłoszył — i jasno pstrokate ptaszki poczęły uwijać się zygzakami nad sitowiem, przepadać, znowu śmigać na widoku myśliwych, jakby wyzywając ich do trudnego strzału.

Michał machnął ręką:

— Niema co strzelać; ani to bardzo piękne, ani smaczne — — żeby choć bekasy!

W tej chwili rozległ się strzał na wodzie dosyć bliski, a zarazem ucięło coś, jak biczem po trzcinach.

— Tam do licha! szróty tu świszczą! — zawołał ostrzelany[1]) już Michał. — Pewno proboszcz ...

Jakoż, wychyliwszy się ostrożnie z za firanki sitowia, ujrzeli dubicę księdza Stulgińskiego, zbliżającą się do wyspy, o paręset kroków, a między łódką i wyspą — czarno srebrzystą, dużą plamę na wodzie.

— Nur! wspaniały nur! — zawołał Michał stłumionym głosem. On do niego pierze na sto kroków, nigdy nie dosięgnie. — — Spłatamy mu sztukę! — —

Pociągnął za ramię Lelejkę i podeszli obaj na wyższy brzeg i ukryli się za grubym pniem olchy.

— Stąd widzimy dobrze i zasłonięci jesteśmy od zapalczywego proboszcza, który nas gotów jeszcze postrzelić. A nura my dostaniemy — niech ksiądz tylko trzyma psa, żeby nie skoczył do wody. — — Kuchta! kusz! waruj!

Nur lawirował ukosem ku wyspie, kręcąc się na fali, ukazując to ciemną plamę swego łódkowatego[2]) boku, wielkości prawie indyka, to front swój z wyniosłą szyją, obfitemi przy dziobie bokobrodami i pierś tak metalicznej bieli, że lśniła pod słońcem, jak polerowane srebro.

1) ostrzelany »im feindlichen Feuer abgehärtet, gewöhnt«.

2) łódkowaty »von der Gestalt eines Schiffchens«.

— Strzela znowu! — szepnął Michał i wepchnął Lelejkę za pień, sam zaś, na pół wysunięty, obserwował pilnie.

Śmignął strzał księdza Stulgińskiego po wodzie: szróty obsypały rzęsiście miejsce, gdzie znajdował się przed chwilą nur, ale już go na wodzie nie zastały. Szybszy od szrótu, zniknął, tylko płynne kręgi znaczyły miejsce ucieczki do głębiny.

Po dobrej minucie wynurzył się znacznie bliżej od wyspy, na dystans ze siedmdziesięciu kroków, i obracając się ciągle, paradował zalotnie świeżem upierzeniem.

— Strzelaj pan! blisko już — szepnął niespodzianie ksiądz Lelejko, pożerając pięknego ptaka oczyma.

— Cicho — odszepnął Michał — podpłynie jeszcze bliżej ... A ksiądz, widzę, także amator?

— Kiedy zwierz chytry, i człowiekowi chytrość przychodzi — objaśnił Lelejko i oblał się pąsowym rumieńcem.

Teraz nur bez widomego powodu czmychnął pod wodę, aż usłyszeli myśliwi plusk, niby głośną czkawkę fali. Zamarli w oczekiwaniu: może spłoszyli go szeptaniem?

— — Nie — wynurzył się o czterdzieści kroków od brzegu, w całym splendorze; zwracał uwagę tylko na dubicę, od której się oddalał, nie przewidział zasadzki na zaufanej, rodzinnej wyspie.

Cicho, powoli przyłożył Michał do ramienia strzelbę, mierząc, jak go już nauczyło doświadczenie, w wodę pod nura — i palnął. Wspaniały ptak dał jeszcze raz nurka, ale wypłynął natychmiast przewrócony, nakształt zarękawka o srebrzystym, gładkim włosie.

— Teraz, Kuchta, hul! aport!

Pudel skoczył, jak pocisk, do wody, i niebawem zaaportował nura — — —

Ptaki, ryby i owady zwykły także, jak ludzie, obiadować o południu, a potem pogrążać się w drzemiącą lubość trawienia. Prawie nic żywego nie ruszało się na sennych wodach. Tylko jaskółki, czarne miłośnice błękitu, kresliły niebo nikłą siateczką swych piorunowych[1]) lotów, wiążąc ją gdzieniegdzie przy wodzie w węzełki z trzepotań i jasnych bryzgów. Nisko coś krążą — — chociaż po niebie jeden tylko płynie biały, wydęty puchem, przyjazny obłok, może przyść burza pod wieczór? — — albo dopiero jutro? — —

Dubica Jużyncka miała dalszą drogę do przebycia, niż czółno proboszcza; więc gdy ksiądz Stulgiński dotarł do ajerów i ogłosił się już strzałem, Rajecki i Lelejko płynęli jeszcze po gładkiem — — —

— Księże wikary! teorya, o której mówiliśmy na wyspie, nie zaspokaja wszystkich zagadnień, a szczególniej wszystkich porywów ludzkich, nawet chwalebnych.

— Wiadomo, ona tylko dla ludzi cichych i pokornego serca.

— A czy ksiądz nie myślał nigdy, jakąby wziął żonę, gdyby miał się żenić? Prawdziwa miłość może także uszlachetnić, i to dwa indywidua, mężczyznę i kobietę.

— Nie rozmyślałem nad tem, bo nie miałem projektu.

— Ależ dla innych, dla większości ludzi, to jest kapitalne zagadnienie! Ksiądz, czy proboszcz, czy profesor, powinienby, jako kierownik dusz ...

Urwał, bo spostrzegł, że nie wywoła odpowiedzi, tylko zaambarasowanie księżyka, którego mądrość wyrosła z nowotnej gleby jedną bujną łodygą; brakło ziarna

---

1) piorunowy »blitzschnell«.

na szerszy rozrost zboża. Wprawdzie tyle jeszcze czasu miał do uprawy swej duszy świeżej i żyznej — — —

Zapatrzył się na wodę wielką i senną, po której powierzchni płynął, nieświadomy głębin, nie trzymając nawet steru swej drobnej łodzi. Ale świat był tak luby na jeziorze, na niebie i na okolicznych pagórkach, że nie wstyd było przepadać leniwie, jako atom dzieła wiecznej Mądrości, która ułożyła tę harmonię i krasę.

Stado lotnych cyranek ciągnęło nisko nad wodą.

Michał chwycił instynktowo za strzelbę, ale ją odłożył. Trochę daleko było na strzał i nie bardzo się chciało Michałowi strzelać. Uśmiechnął się do Lelejki:

— Pięknie tak — niech wszystko żyje ...

Słowacki:

W Szwajcaryi[1]).

I.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty,
I nie wiem czemu ta dusza, z popiołów
Nie wylatuje za nią do Aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki,
Do tej zbawionej i do tej kochanki.

II.

W szwajcarskich górach, jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.
Widzisz tę tęczę na burzy[2]) w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,

1) Beendet im Jahre 1838.

2) na burzy hier etwa »auf dem Wassersturz«.

Nic ją nie zburzy, i nic ją nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnię,
Przez tęczę idzie, na skraju doliny
Szczypać kwitnące róże i leszczyny:
Lub jaki gołąb co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błyśnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu! —
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy;
A za tym zmysłem co kochać przymusza
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecić;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się i zgaśnie i zniknie;
I byłem jak ci co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją.
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą,
Pod jasną tęczy różnofarbnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy,
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny,
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,

Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną płetwą, jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.
Pamiętam chwilę ... poranek był skwarny.
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stanęły blizko, złote, nieruchome;
I utopiły oczów błyskawice,
W kochanki mojej błękitne źrenice;
I długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy promienne pokładły na sobie:
Rzekłem: — one się zakochały w tobie!
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie,
Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie,
Przyleciał szybko i wrócił z podróży,
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył że oczów nie mrużę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta,
Rumieniec kwiatu co świeżo rozkwita:
Ani tak oko wędrowca zachwyca,
Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica:
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami
I nie wiem czy tam była łódź pod nami;
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać,

A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią;
Płynęła lecąc — łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody;
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne Boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną ...
I mogła była co chce zrobić ze mną.

V.

Raz — że nie była niebieskim aniołem
Myślałem całe długie pół godziny,
Wyspowiadałem się potem z tej winy —
Słuchajcie! — Oto przed Tella kościołem,
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos że mnie kocha,
I odesłała mnie znów na jezioro;
Łódkę mą piersią odtrąciwszy białą ...
A ja — ach nie wiem co się ze mną stało!
Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozrywa się łono,
Czy serce jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownemi loty,

Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić łzy i białe w nim obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie ...
Wtem zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów,
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy:
A pod tym progiem są na wodzie plamy,
Od sosen co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia; gdzie mówiąc do siebie
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem, fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,
I przybliżała, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy[1]).
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmieszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę — boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! — i tak wierna!

1) wyrazy, hier = słowa.

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem gdzie trzód jęczą dzwony!
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau, i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory.
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury;
O! moja luba tam pójdziemy z tobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą że nas wzięły duchy,
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury,
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy,
I ulecieli z pelejad[1]) gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,
I nadto barwy co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą —
Było to rankiem — pomnę — pod kaskadą —
Byliśmy niczem niestrwożeni — sami —
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
Wtem duch mi jakiś podszepnął do ucha,
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem. —
Była jak anioł co myśli i słucha —
I nagle — takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jej umalował,
Że nie wiem dotąd jak się wszystko stało;

1) pelejad = plejad.

Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomieszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami. —
Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza i bladsza.
W głębszych się coraz zanurzała cieniach,
A obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętej lutni
Stawała słuchać tak jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną; lub sama w ustroni
Ręce na białą zakładała szyję,
Jak ta co boi się, albo się broni.
Lub jako gołąb co w strumieniu pije,
Do nieba jasnem wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XVI.

Jest chwila gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą;
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czem cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.

Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dyanny:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;
O takiej chwili ach dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną,
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVIII.

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O nie pytajcie wy mię smutne o nią.
Są łzy co mówić na zawsze zabronią,
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie;
I widzę jasne, błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nade mną litować,
I widzę usta co mię chcą całować,
I drżę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem gdzie iść? i gdzie oczy schować?
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I staję blady i kreślę jej rysy,
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
Lub błądzę między róże i cyprysy,
Jak człowiek który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił, i płacząc usiada
Tam kędy urny na grobowcach siedzą;
Myśląc że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemi oknami fontanna

Co wiecznie jęczy zapłakanym szumem:
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna
Gdzie co noc blada zaziera Dyanna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami,
To drzewo, księżyc ten, i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram
Słuchając rożnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie,
Mówią mi o niej — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,
I schnę, i więdnę — i ach nie umieram ...
I co dnia budząc mnie fontanny płaczą.

Przerwa-Tetmajer:

Narodziny Afrodyty.

Złocisty-to był dzień. Błękitne zadumanie
objęło cały świat. Na modrym oceanie
słoneczny zasnął blask. Na ziemi i na niebie
cisza zdawała się wsłuchiwać sama w siebie.
Omdlewał w okrąg świat od światła i gorąca,
różany płonął kwiat, srebrniała[1]) lilia drżąca,
nad cichą, modrą toń nieskończonego morza
płynęła kwiatów woń, jak lutni dźwięk, w przestworza.

Wtem — jakby zwiewny[2]) rój motyli skrzydłem drżącem
potrącił śpiący blask i śpiącą głąb pod słońcem:
zadrgała senność sfer i kwiaty zaszeptały,
niepokój jakiś świat ogarnął nagle cały,

1) srebrnieć »silbern schimmern«. 2) zwiewny »leicht zu verwehen«.

oczekiwanie — — cud jakiś się dziwny iści, — —
z błękitno-złotych wód, z zielono-złotych liści
dźwięczący wybiegł szmer, lękliwy i radosny,
zadrgała senność sfer, jak w narodziny wiosny.

I ze srebrzystych pian, co w słońcu nieruchomie
w tęczach świetlanych skier leżą na wód ogromie,
wśród blasku, ciepła, mgieł złocistych, z wód kryształu
nagi niewieści kształt wynurza się pomału — —
zdumienie zdjęło świat: przejrzyste milkną sfery,
drżeć przestał róży kwiat, liliowe ścichły szmery,
jakby zaklęta, woń stanęła skrysztalona,
i w zadziwieniu w toń spojrzała nieb opona.

A ze srebrzystych pian Afrodis wyszła biała
i naprzód słońcu swój promienny uśmiech słała,
potem przez modrą głąb powoli szła ku ziemi,
znacząc swej drogi ślad kroplami świetlistemi,
i boski uśmiech śle niebiosom, lądom, wodzie,
a świat dziwował się przecudnej jej urodzie,
blask ją osuszać biegł, woń obcierała z rosy,
u nóg jej śnieżnych legł ocean modrowłosy.

A ona w słońcu swe suszyła ciało białe,
zefiry pieszczą ją z rozkoszy oszalałe,
ślizgają się od stóp po nogach jej do łona,
całują piersi jej i szyję i ramiona,
spijają perły pian z jej zagięć i lubieżne,
w lotny okrążą tan jej uda smukłe, śnieżne,
zwolna się suną wzdłuż jej pełnych biódr, a potem
ku ustom z wonią róż wzlatują nagłym wzlotem.

Muskają włosy jej złociste, miękkie, śliczne,
złocisty szafir ócz owieją balsamiczne
i omdlewając już do stóp jej kornie padną . . .

A ona rękę swą podniosła światowładną
i naga stała tam, a dziwna jej potęga
aż do Hadesu bram nieprzekroczonych sięga
i zadrżał wszechświat w krąg, bo z morskich głębokości,
sprawczyni wyszła mąk najsroższych dla ludzkości.

Przerwa-Tetmajer:

Salomon i Sulamitka.

Sulamitka.

Twe oczy jak pochodnie gorą, od których noc się rozpłomienia.

Salomon.

Wśród rzęs twe oko jak jezioro, które nadwodny gaj ocienia.

Sulamitka.

Twe usta są jak wiśni grona, purpurą malowane ciemną

Salomon.

Ust twoich róża rozchylona motyle nęci ponademną.

Sulamitka.

Pierś twa, jak brama, kędy woje[1]) wroga łoskotem trwożą stali.

Salomon.

Jak dwa gołębie piersi twoje, co na śnieżystej siedzą hali.

Sulamitka.

Twe słowa jak najsłodsze miody, jako szum cedrów twoja mowa.

Salomon.

Jak dźwięczny szelest górskiej wody, jak zapach myrry twoje słowa.

---

1) woje Plur. = wojsko.

Sulamitka.

Jak płomień podczas nocy mroźnej, tyś pożądany mnie i drogi.

Salomon.

Jak łódź do brzegu z fali groźnej, spieszę, o luba, w twoje progi.

Sulamitka.

Pierś twą chcę czuć na mojem łonie, w uściski pochwyć mię palące.

Salomon.

Zstokrotnić chciałbym moje dłonie i ust i źrenic mieć tysiące.

Sulamitka.

Ramiona twoje mnie unoszą[1]), jak róża od gorąca, mdleję.

Salomon.

Poję się twegu tchu rozkoszą, jak palma w piaskach gdy wiatr wieje.

Sulamitka.

Obłok zasłania me źrenice, w otchłań upadam, w głębię ciemną ...

Salomon.

W oczach mych skrzą się błyskawice, ziemia zapada się podemną ...

Sulamitka.

O luby! szczęścia to godzina, nad wszystkie życia chwile święta.

Salomon.

O luba! chwila to jedyna, gdy się o śmierci nie pamięta.

Sulamitka.

Mądrem i pięknem będzie dziecię, którem poczęła w tej godzinie.

---

1) unosić »zähmen, besänftigen«.

Salomon.

Jak w pączku często kona kwiecie, w łonie niech twoje
dziecko zginie.

Sulamitka.

Od zgrozy ciało me drętwieje — — przecz słowu dałeś
wyjść strasznemu?

Salomon.

Li tylko to, co nie istnieje, o luba, nie podlega złemu.

Kasprowicz:

Venus vulgivaga [1]).

Światła płoną na ulicach miasta;
Tłum próżniaków, jak rzeka, się wzmaga,
A wśród niego gałgankami szasta
Wyuzdana Venus vulgivaga.

Z każdą chwilą bezczelność jej wzrasta,
Słodka, ckliwa, paląca, jak zgaga:
Tu zaszydzi, tam cię błotem schlasta —
Błotem pieszczot — Venus vulgivaga.

Idź! posłuchaj wabiącego słowa!
Niech ci łono skalane otworzy,
Niech twe oko zaćmi pierś jej naga!

Trądem dusza okryje się zdrowa,
W sercu ogień ugasi ci boży
Jednem tchnieniem Venus vulgivaga.

---

1) Aus »Impressye«. Die »überall umherschweifende Venus« bei Lukrez, Buch 4.

Żeromski (Maurycy Zych):

Rozdziobią nas kruki, wrony[1]).

Ani jeden żywy promień nie zdołał przebić powodzi chmur, gnanych przez wichry. Skąpa jasność poranka rozmnożyła się pokryjomu, uwidoczniając krajobraz płaski, rozległy i zupełnie pusty. Leciała ulewa deszczu, sypkiego jak ziarno. Wiatr krople jego w locie podrywał, niósł w kierunku ukośnym i ciskał o ziemię.

Ponura jesień zwarzyła[2]) już i wytruła w trawach i chwastach wszystko, co żyło. Obdarte z liści, zczerniałe rokiciny żałośnie szumiały, zniżając pręty aż do samej ziemi. Kartofliska, ściernie, a szczególniej role świeżo uprawne i zasiane, rozmiękły na przepaściste bagna. Bure obłoki, podarte i rozczochrane leciały szybko, prawie po powierzchniach tych pól obumarłych i przez deszcz schłostanych.

Właśnie o samym świcie Andrzej Borycki (bardziej znany pod przybranem nazwiskiem Szymona Winrycha), wyjechał z za pagórków rajgórskich i skierował się pod Nasielsk, na szerokie płaszczyzny. Porzuciwszy zarośla, trzymał się przez czas pewien śladu polnej dróżyny, gdy mu ta jednak zginęła w kałużach, ruszył wprost przed siebie, na poprzek zagonów.

Przez dwie noce już czuwał i trzeci dzień wciąż szedł przy wozie. Buty mu się w rzadkiem[3]) błocie rozciapały[4]) tak misternie, że przyszwy szły swoim porządkiem, podeszwy swoim porządkiem, a bose stopy w zupełnem odosobnieniu. Bardzo przemókł i przeziąbł do szpiku kości. Któżby zdołał poznać w tym obdartusie

1) Erschienen 1895. Gekürzt (3. Aufl. 1905). 2) zwarzyć »welk machen«. 3) rzadki »dünnflüssig«. 4) rozciapać się »zerplatzen«.

byłego prezesa najweselszej pod księżycem konfraterni t. z. śrubstaków[1]), dawnego Jędrka[2]), króla i padyszacha syren warszawskich? Włosy mu porosły »w orle pióra«, paznogcie »w dzikie szpony«, chodził teraz w przepoconej sukmanie, żarł chciwie razowiec[3]) ze sperką i żłopał gorzałę z taką naiwnością, jakby to była woda sodowa z sokiem porzeczkowym.

Konie były głodne i zgonione[4]) tak dalece, że co pewien czas ustawały. Nic dziwnego: koła zarzynały się w błoto po szynkle, a na drabiniastym wozie pod trochą olszowego chróstu, siana i słomy leżało samych karabinków sztuk sześćdziesiąt i kilkanaście pałaszów, nie licząc broni drobniejszej. Były to wcale niezłe szkapy: rosłe, podkasane[5]), prawie chude, ale ze świetnej rasy pociągowej. Mogły jak nic robić dziesięć mil na dobę, byleby im pozwolić dobrze wytchnąć dwa razy i uczciwie je popaść. — — — Jeżeli kto jeszcze na tej ziemi walczył w całem i zupełnem znaczeniu tego słowa, to on, Winrych. On jeden jeszcze chodził po broń, jeden nie upadał na duchu. Gdyby nie on i sama partya[6]) byłaby się od dawna rozleciała na cztery strony świata. Przez długi czas tych ludzi ściganych, głodnych, przeziębłych i wylęknionych wspierał swemi szyderczemi półsłowami i podniecał, jak chłostą. Teraz, gdy już wszystko runęło na łeb w bezdenną jamę trwogi, on się, jak to mówią, zawziął. W miarę tego, jak nietylko do głębi nastrojów i sumień, ale do podstaw t. z. polityki rewolucyjnej wciskać się poczęła coraz bezczelniej i natarczywiej filo-

1) śrubstak »Schraubstock«. 2) Jędrek, Deminutiv von Jędrzej »Andreas«. 3) razowiec »Roggenbrot«. 4) zgonieny »abgejagt, abgehetzt«. 5) podkasany »lange und dünne Beine besitzend«. 6) Die Erzählung spielt, wie Żeromski's »Wierna rzeka« in den Jahren 1863/64.

zoficzna zasada: *fratres, rapiamus, capiamus, fugiamusque,* — on czuł w sobie upór coraz zuchwalszy, coraz straszliwiej bolesny i już prawie szalony ...

Gdy tak zmoknięty, głodny i bardzo znużony brnął przy wozie, poczęło, jakby wraz z zimnem, wsiąkać w niego uczucie nędzy. W kieszeni nie miał już ani okruszyny chleba i ani kropli wódki we flaszce. Dziurawe buty — — — nie mogły być przyczyną owego uczucia nędzy. Nie sam głód również i nie samo zimno je wywoływało. Ale po śladach, zostawionych na błocie przez te dziurawe buty, szła za Winrychem ironia spostrzeżeń, owa bieda okrutna, co nie waha się wtargnąć do miejsca świętego świętych[1]), co odważnie, jak plugawy lichwiarz, bierze w szachrajską swą rękę bezcenne klejnoty ludzkiego ducha i drwi z ich wartości, ubierając tę podłość w najlogiczniejsze syllogizmy.

— Wszystko przełajdaczone, — szepce Winrych, pogwizdując, — przegrane nietylko do ostatniej nitki, ale do ostatniego westchnienia wolnego. Teraz dopiero wyleci na świat strach o wielkich ślepiach, ze stojącymi na łbie włosami i wypędzi z mysich nor wszystkich metafizyków reakcyi i proroków ciemnoty. Czego dawniej nie ważyłby się jeden drugiemu do ucha powiedzieć, to teraz będą opiewali heksametrem. Ile w człowieku jest zbója i zdrajcy, tyle z niego wywleką, na widok publiczny ukażą i ku czci, oraz naśladowaniu podadzą. I pomyśleć, że to my taki sprawiliśmy postęp wyobrażeń, ponieważ przegraliśmy ...

Mocniej zacisnął pas wełniany, osłonił piersi sukmaną i ruszył dalej, zwiesiwszy głowę. Czasami ją podnosił i mówił przez zęby:

---

1) miejsce świętego świętych »das Allerheiligste«.

— Psy parszywe!

Deszcz ostry nacichł i siał tylko ów pył wodny, nieustanny, zawieszający tuż przed okiem jakby nieprzejrzystą zasłonę. Podmuchy wiatru szalały dokoła wozu, gwizdały między sprychami, wydymały długie poły sukmany i targały koszulę na Winrychu.

Za zasłoną mgły dał się nagle postrzedz jakiś ruch jednostajny, równoległy do ledwie widocznego horyzontu. Mógł to być szereg wozów, stado bydła, albo — wojsko.

Winrych patrzał przez chwilę, przymrużywszy powieki. Doznawał takiego wrażenia, jakby ktoś zagiął palec pod żyłę krwionośną w jego piersiach i wydzierał ją na zewnątrz.

— Moskale ... — wyszeptał.

Dał koniom po siarczystym[1]) bacie, ściągnął lejce, zawrócił prawie na miejscu i zaczął uciekać. Nie chciał, a raczej nie mógł odwrócić głowy, ażeby się obejrzeć po za siebie i zbadać, co się tam dzieje. Zdawało mu się, że umknie na bok niepostrzeżony. Nieszczęście chciało, że miejsce było gołe i puste w promieniu wiorst kilku.

Uciekający wóz spostrzeżono. Z szeregów postępującego wojska odłamała się grupa jeźdźców, wysunęła przed front i pomknęła, co koń skoczy. Winrych, patrząc już na to zjawisko, nie mógł zrozumieć, czy ci ludzie sadzą ku niemu, czy się oddalają w kierunku przeciwległym. Dopiero, zobaczywszy chorągiewki przy schylonych lancach i łby końskie, zoryentował się dobrze. Wtedy krew szarpiąca się[2]) w jego pulsach — jakby stężała i stanęła w biegu ... Zatrzymał konie, omotał[3]) dokoła luśni parciane[4]) lejce i namyślał się, co wywlec

1) siarczysty »tüchtig, kräftig«. 2) szarpać się hier »jagen, rasen«. 3) omotać »umwickeln«. 4) parciany »aus grober Hausleinwand«.

z wozu do obrony: pałasz, czy sztucer[1]) nienabity?

Zanim wszakże cokolwiek przedsięwziąć zdołał, machinalnie zbliżył się do zmordowanych koni swoich i zaczął jednemu z nich zdejmować kantar ze łba i ściągać chomąto, jakby z zamiarem puszczenia na wolność tych towarzyszów niedoli. Czyniąc to, na chwilę przytulił się do szyi końskiej i westchnął.

Ośmiu ułanów rosyjskich na pięknych koniach dopadło wozu i w mgnieniu oka ze wszystkich stron go otoczyło. Jeden z nich, nie mówiąc ani słowa, począł zrzucać lancą suche gałęzie, oraz snopki kłoci[2]) i sondować głąb wozu.

Gdy grot dźwięknął, uderzywszy o lufy sztucerów, — żołnierz poklepał Winrycha po ramieniu i mrugnął na towarzyszów. Tamci sięgnęli po karabinki, założone na plecy. Winrych stał na miejscu, jak przedtem, obejmując ramieniem kark konia. Usta mu się skrzywiły wzgardliwie i w sercu zsiadło nie to męstwo, lecz pogarda bezbrzeżna, pogarda wszystkiego na tej ziemi.

— Ty do czyjej partyi to wiozłeś? — zapytał go ów rewidujący.

— Głupiś! — odrzekł Winrych, nie podnosząc głowy.

— Do czyjej partyi to wiozłeś? Słysz, polaczyszka[3])!

— Głupiś!

— To nie chłop, — rzekł do podwładnych starszy z naszywką[4]) na ramieniu, — to powstaniec.

— Głupiś! — rzekł Winrych, patrząc w ziemię.

— Bierz psiego syna! — wrzasnął żołdak.

Dwu z nich odsadziło się natychmiast o kilkadziesiąt kroków i szybkim ruchem nastawiło lance poziomo.

1) sztucer (sztucek) »Karabiner«. 2) kłoć »eine Gräserart (Cladium mariscus L.); daraus ausgedroschenes Stroh«.
3) polaczyszka, Demin. von polak. 4) naszywka »Borte«.

Skazany spojrzał na nich, gdy mieli ukłuć konie ostrogami, i zaraz, jak małe dziecko, zasłaniając głowę rękami, cichym, szczególnym głosem wymówił:

— Nie zabijajcie mnie ...

Zerwali się w skok z miejsca zgodnym susem i wraz go przebili. Jeden ohydnie rozplatał mu brzuch, a drugi złamał dekę piersiową. Trzeci ułan odjechał o kilkanaście kroków i gdy dwaj pierwsi, wyrwawszy lance i splunąwszy, usunęli się na bok, wziął na cel głowę powstańca. Pociągnął za cyngiel wtedy właśnie, gdy nieszczęsny zsunął się w bróżdę. Kula, przeszywszy czaszkę narącznego[1]) konia, zabiła go na miejscu. Zwierzę stęknęło żałośnie i padło bez tchu na nogi konającego Andrzeja. Żołnierze zsiedli z koni i zrewidowali puste kieszenie sukmany. Rozgniewani o to, że Winrych wypił wszystką gorzałkę, rozbili butelkę na jego czaszce i podarli mu ostrogami policzki. Na głos sygnału, wzywającego ich do powrotu, wskoczyli na siodła i nabrawszy z wozu po kilka sztuk dobrych pałaszów belgijskich, odjechali za oddziałem, który zanurzył się już we mgłę i szarugę — — —

Tymczasem deszcz rzęsisty puścił się znowu i na małą chwilę ocucił powstańca.

Powieki jego, zaciśnięte przez ból i popłoch śmiertelny, dźwignęły się i oczy po raz ostatni zobaczyły obłoki. Usta mu drgnęły i wymówiły do tych chmur szybko pędzących ostatnią myśl:

— ... Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom ...

Wielka nadzieja nieśmiertelności ogarnęła umierającego niby przestrzeń bez końca. Z tą nadzieją w sercu umarł.

1) narączny koń »Pferd, das rechts der Deichsel geht«.

Głowa jego wygniotła w błocie dołek, do którego teraz spływać poczęły maleńkie strumyki i tworzyły coraz większą kałużę. Krople, trzepiąc w nią, wzbijały duże, wysoko wzdęte bańki, rozpryskujące się w nicość tak szybko i zupełnie, jak ludzkie święte złudzenia. Zabity koń stygł szybko na zimnie, a pozostały przy życiu szarpał się w zaprzęgu tak gwałtownie, jakby go kto smagał rzemiennym batem. Nagle przechylił się przez dyszel, przez martwego towarzysza i obwąchał głowę Winrycha. Skoro poczuł trupa, ślepie mu krwią nabiegły, grzywa na karku wzburzyła się dziko, szarpnął się w tył, potem cisnął naprzód całym korpusem, bił nogami w ziemię i wierzgał na wszystkie strony w takiej furyi, że tylna jego noga wpadła między sprychy przedniego koła wozu. Szarpnął ją z całej mocy i okropnie złamał powyżej pęciny. Ból wprawił go we wściekłość tem większą. Rozjuszony, wściekłymi skokami rzucać się począł. Kość pękła na dwoje w taki sposób, że ostry i jak nóż śpiczasty jej kawałek przebił skórę i coraz bardziej, wskutek targania ją okrawał[1]).

Dopiero nazajutrz rano pluchota bić przestała, choć wiatr wcale nie ucichł. Chmury leciały wysoko, poprzedzielane głębiami cieniów o kształtach dziwacznych. Pod wiatr i jakby na spotkanie obłoków ciągnęły już stadami, już pojedynczo kruki i wrony. Podmuchy wichrów odnosiły je i odpychały napowrót, nieraz zabawnie wyłamywały im skrzydła do góry, albo kamieniem ciskały ku ziemi. Nad padliną w polu leżącą ptactwo krążyć poczęło, zniżało lot usilnie i po długiem mocowaniu się z wichurą siadało na zagonach z daleka.

Koń żyjący wciąż stał ze złamaną nogą, zamkniętą

1) okrawać »abreißen, zerreißen«.

między sprychami. Wyciągnąć jej dla wielkiego bolu już nie usiłował. Obnażona kość przy każdem poruszeniu zaczepiała się o drzewo i krajała skórę.

Ujrzawszy wrony, powolnymi kroki, z nogi na nogę postępujące ku wozowi, koń zarżał. — — —

Wrony z wielką rozwagą, taktem, statkiem, cierpliwością i dyplomacyą zbliżały się, przekrzywiając głowy i uważnie badając stan rzeczy. Szczególnie jedna zdradzała największy zasób energii, żądzy odznaczenia się, czy nienawiści. — — — Przymaszerowała aż do nozdrzy zabitego konia, z których sączył się jeszcze sopel krwi skrzepłej, okrytej błoną rudawą. Bystre i przenikliwe jej oczy dojrzały, co należy. Wtedy bez namysłu skoczyła na głowę zabitej szkapy, podniosła łeb do góry, rozkraczyła nogi, jak drwal, zabierający się do rąbania, nakierowała dziób prostopadle i jak żelaznym kilofem palnęła nim martwe oko trupa. Za przykładem śmiałej wrony ruszyły się jej towarzyszki. Ta preparowała żebro, inna szczypała nogę, jeszcze inna rozrabiała ranę w czaszce. Najbardziej przecież ze wszystkich odznaczyła się ta — — —, co zapragnęła zajrzeć do wnętrza mózgu, do siedliska wolnej myśli i zupełnie je zeżreć. Ta wstąpiła majestatycznie na nogę Winrycha, pomaszerowała po nim, dotarła szczęśliwie aż do głowy i poczęła dobijać się zapamiętale do wnętrza tej czaszki, do tej ostatniej fortecy polskiego powstania.

Nim wszakże skosztowała warcholskiego mózgu i zdążyła osiągnąć t. z. tytuł do sławy, spłoszył ją nowy przybysz, co zbliżał się niepostrzeżenie, chyłkiem, podobny do dużej, szarej bestyi. Nie był to wcale poetyczny szakal, lecz człowiek ubogi, chłop z wioski najbliższej. Na działku[1]), który odtąd miał do niego należeć

1) działek »Anteilsland«.

na zawsze, znalazły się trupy, — szedł tedy zabrać je stamtąd.

Bał się srodze Moskali, to też prawie pełzał na czworakach. Paliła go żądza poucinania rzemieni i podniecała słodka nadzieja znalezienia jeszcze, pomimo lustracyi żołnierskiej, żelaztwa, postronków i odzieży na trupie. Stanąwszy wreszcie nad zwłokami Winrycha, począł kiwać głową i wzdychać — potem ukląkł na ziemi, zdjął kaszkiet[1]), przeżegnał się i zmówił głośno pacierz.

Wyrzekłszy ostatnie *amen,* już z błyskiem pożądliwości w oczach, rzucił się przedewszystkiem do kieszeni i zanadrza i począł szukać trzosa. Nic tam już nie znalazł. Obdarł tedy trupa z sukmany, szmat zgrzebnych, zzuł mu buty, zabrał nawet zbłocone onuczki, owinął tymi łachmanami część broni i szybko się oddalił. Po upływie godziny wrócił, aby zabrać resztę zdobyczy. Około południa przyprowadził parę koni i wyprzągł konia kalekę. Obejrzawszy jak najstaranniej jego przetrąconą nogę, przyszedł do wniosku, że jest zepsutą zupełnie. Trzeba było szkapę na nic niezdatną udusić. Założył jej też, nie zwlekając, linkę na kark, przywiązał ją do wagi[2]) od orczyków, wlokącej się za parą jego koni, plunął w garść i popędził je, tnąc z całej mocy. Konie nagle szarpnęły, pętlica zdusiła gardziel skazańca i zwaliła go na ziemię. Za chwilę jednak moriturus zerwał się i pobiegł cwałem za ciągnącą go parą, stąpając ostrym szpicem nagiej piszczeli po błocie i po kamieniach.

Chłop spojrzał i aż zakrył sobie oczy z obrzydzenia. Zaraz odwiązał linkę i dał pokój egzekucyi. Zaprzągł

1) kaszkiet »Mütze mit einem Schirm«. 2) waga »die Wage d. i. die über der Deichsel liegende Stange, an der die ortscheite (orczyki) befestigt werden«.

konie do wozu i odjechał. Po południu zjawił się z kozikiem i zdjął skórę z konia, zastrzelonego przez ułanów. Została tylko do usunięcia skóra na koniu jeszcze żywym. Chłopowina[1]) medytował, roztrząsał sprawę i rozpatrywał ją z rozmaitych punktów. Mógłby zdechlaka zarznąć kozikiem i załatwić całą rzecz za jednym zamachem, ale nie chciało mu się »paprać«[2]) moralnie i fizycznie. Z drugiej strony — bał się nie na żarty, aby ktoś w nocy nie zakradł się cichaczem, nie zatłukł szkapy i skóry z niej nie ściągnął. Koniec końców, tknięty jakimś skrupułem, rzekł do leżącej:

— Ej — a dychaj se tu ... I tak na jutro na rano kopyta wyciągniesz. Spracowałem się! Pan Jezus miłosierny pobłogosławił mnie grzesznemu ... Może i nikt nie widział, może i nie przyjdzie po skórę. Dobre i to. Dychaj se tu, niebogo, dychaj ...

Na uboczu, względnie do tego kierunku w jakim zdążał Winrych, były w równem polu doły kartoflane. Ponieważ okazało się, że grunt przepuszczał wodę do wnętrza tych dworskich piwnic zimowych, więc przeniesiono je w inne miejsce, a jamy owe chwastem zarosły. Krzaki berberysu zagaiły[3]) ich dno i ściany. Belki ocembrowania pozapadały się wraz z bryłami gliny, tworząc lochy i katakumby, pełne teraz wodnistego błota. Do jednej z tych dziur zaciągnął włościanin nad wieczorem trupa powstańca i zwłoki konia, obdartego ze skóry. Zepchnął je pospołu do jednego lochu, uwikłał żerdzią między dylami i zielskiem i narzucił z wierzchu trochę gliny, aby tego żeru wrony nie wytropiły.

Tak bez wiedzy i woli zemściwszy się za tylowieczne[4])

1) chłopowina = chłopina »das arme Bäuerlein«.
2) paprać się »sich besudeln«. 3) zagaić »bewachsen«.
4) tylowieczny »so viele Jahrhunderte während«.

niewolnictwo, za szerzenie ciemnoty, za wyzysk, za hańbę i cierpienie ludu, szedł ku domowi z odkrytą głową i z modlitwą na ustach. Dziwnie rzewna radość zstępowała do jego duszy i ubierała mu cały widnokrąg, cały zakres umysłowego objęcia, całą ziemię barwami cudnie pięknemi. Głęboko, prawdziwie, z całej duszy wielbił Boga za to, że w bezgranicznem miłosierdziu swojem zesłał mu tyle żelaztwa i rzemienia ...

Nagle w śmiertelnej ciszy jesiennego zmroku przeleciało nad ziemią rozpaczliwe końskie rżenie. Chłop się zatrzymał i nakrywszy oczy dłonią od blasku, patrzał pod zachód słońca.

Na tle zorzy liliowej widać było konia, wspartego na przednich nogach. Motał łbem, wykręcał go w stronę grobu Winrycha i rżał.

Trzepały się nad tym żywym trupem, wzlatywały, spadały i krążyły wron całe gromady. Zorza szybko gasła. Z za świata szła noc, rozpacz i śmierć.

SEP 1 1949

480883

La P.Gr
T7778po

Trautmann, Reinhold
Polnisches Lesebuch.

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED